№ 48. Warszawa, dnia 29 (17) Listopada 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego numeru dołączamy bezpłatny dodatek *Prawdy* za kwartał trzeci. Dodatek ten musiał uledz opóźnieniu; następny jednak zeszyt wyjdzie w czasie właściwym, t. j. przy końcu grudnia r. b.

Zamiarem naszym jest dostarczyć abonentom *Prawdy* szeregu książek naukowych, któreby przewodniczyć im mogły w poznawaniu rozmaitych gałęzi wiedzy. Z tym celem wydaliśmy klasyczne czterotomowe dzieło J. Brandesa *Główne prądy literatury XIX wieku*, będące, jak mniemamy, nabytkiem wielkiej wartości. Praca, którą dziś rozpoczynamy w powiększonym formacie dodatku, została dokonana według zbiorowego wydawnictwa niemieckich ekonomistów, wymienionych na karcie tytułowej. Nie przełożyliśmy go dosłownie, gdyż dla niespecyalistów tysiącstronicowa książka byłaby za obszerną a szczególne uwzględnianie stosunków i spraw niemieckich dla czytelników polskich zbytecznem. Nasza **Ekonomia polityczna** zawrze się w czterech lub pięciu zeszytach (około 400 stronic), czyli wypełni dodatek *Prawdy* w ciągu roku. Ponieważ w ostatnich czasach przyswojono literaturze naszej kilka obcych dziełek bardzo popularnych i opartych na podstawie poglądów nieco przestarzałych, nasz więc podręcznik przyda się tem bardziej, że jest trzymany w tonie ściśle naukowym i uwzględnia najnowsze zasady ekonomiczne. Każdą umiejętność roztapiać można w przyprawach, ułatwiających jej spożywanie, ale ostatecznie każda wymaga wysileń myśli. To też abonenci nasi, którzy nie oczekują od nas lekkich rozrywek, nie wezmą nam pewnie za złe, że ich skazujemy na taką pracę — na czytanie książki poważnej.

Pierwszy zeszyt **Ekonomii politycznej** rozsyłamy wszystkim obecnym prenumeratorom *Prawdy*, chociaż on nie należy się przybyłym od 1 października. Dla tych ostatnich zniżamy cenę tego zeszytu z 50 na 30 kop., którą nam łaskawie nadeślą.

Chcąc zapobiedz wyczerpaniu się pierwszych zeszytów dodatku, prosimy szan. abonentów o wczesne nadsyłanie przedpłaty na rok przyszły, ażebyśmy mogli obliczyć i przygotować potrzebną ilość egzemplarzy.

Spółka Nakładowa warszawska wydaje książkę dla dzieci od lat 7 do 12 p. t. *Swiatełko.* Ponieważ obecnie nie mamy wysokiej miary talentów zdolnych wykonać taką pracę siłami jednostkowemi, Spółka przeto zwróciła się do wszystkich wybitniejszych autorów polskich z prośbą o napisanie dostępnych dla umysłu dziecinnego powiastek, opowiadań, bajek, poezyj oraz objaśnień naukowych. Tym sposobem powstał oryginalny w pomyśle i wykonaniu a zajmujący i pouczający zbiorek, na który złożyło się około trzydziestu pisarzów, a mianowicie: A. Bełcikowski, Br. Chlebowski, P. Chmielowski, J. W. Dawid, S. Dickstein, Br. Grabowski. K. Hoffman, T. T. Jeż. dr. Antoni J., M. Konopnicka, W. Z. Kościałkowska, St. Kramsztyk, E. Lubowski, W. Marrené, L. Meyet, J. Nusbaum, E. Orzeszkowa, J. Potocki, Br. Rajchman, Rozmysłowski, W. Smoleński, F. Sulimierski, A. Świętochowski, Szczęsna, M. Szeliga, A. Walicki, W. Wysocki, Teresa Jadwiga, Z. Gloger.

Niezależnie od usiłowań autorów zastosowania się do skali duchowej młodych czytelników, redakcya książki w doborze, układzie i przygotowaniu nadesłanych jej prac miała ciągle na pamięci zadanie *Swiatełka.* To też mamy nadzieję, że ono rzuci niejeden blask w umysły dzieci i że stanie się dla nich równie pożądanem, jak pożytecznem.

Zbiorek ten, zawierający około 20 arkuszy druku, w gustownej oprawie ukaże się w połowie grudnia, a chociaż jego przeznaczenie sięga po za krótką dobę podarków gwiazdkowych, będzie on mógł służyć jeszcze w roku bieżącym i na ten cel.

Zamawiający egzemplarze przed wyjściem płacą cenę zniżoną rs. 1 k. 50 (w oprawie); po wyjściu *Swiatełko* kosztować będzie rs. 1 k. 80. Abonenci z prowincyi przesyłki nie opłacają.

Adres: Spółka Nakładowa w Warszawie Zielna 7-a.

GAŁĄZKI OLIWNE.

Można było przewidzieć bez szczególnej domyślności, że gdy cesarz niemiecki otworzy sejm mową, z Berlina rozlecą się po Europie gołębie pokoju z gałązkami oliwnemi. I rzeczywiście — rozbiegły się. Kto sięga pamięcią w dawniejsze, ale w niezbyt dawne jeszcze czasy, ten przypomina sobie, że ów pokój tak często i z takim pośpiechem na wszystkich rogach Europy otrębywanym nie był, chociaż ona go nieraz potrzebowała i bez podejrzeń używać mogła. Oceniając obecne stosunki polityczne ze strony formalnej, widzimy przecie cały szereg piśmiennych traktatów lub ustnych umów, słyszymy ciągłe zapewnienia o przyjaźni sąsiedzkiej państw, o przymierzach lub nawet wspólnych działaniach. Małżeństwo, żyjące z sobą zgodnie, nie potrzebuje co kilka miesięcy odnawiać swego ślubu w kościele i uwiadamiać krewnych, przyjaciół, oraz znajomych, że nie myśli wcale o rozwodzie. Cóż tedy wywołuje potrzebę ciągłego stwierdzania faktu

który jest niewątpliwym; co pobudza gazety do ogłaszania swym czytelnikom radosnych wiadomości o „rękojmiach“ i „zapowiedziach pokoju?“

Poseł Richter, najgruntowniejszy krytyk parlamentarny finansowej gospodarki Niemiec, zażądał odsunięcia obrad nad budżetem, gdyż nie można go uchwalić bez dłuższego zbadania — wobec 40 kilku milionów... deficytu. W Niemczech, rządzonych umiejętnie i oszczędnie, taki deficyt! A skąd powstał? Z olbrzymich i ciągle rosnących wydatków na utrzymanie lub powiększenie siły zbrojnej państwa. Wniosek ten sam zdolny jest przekreślić wszystkie zapewnienia pokojowe, połamać wszystkie gałązki oliwne. I oto dlaczego giełda nie ufa gołębiom pokoju, a dzienniki zaznaczają każdą nową jego „rękojmię.“

Z wielu stron zarzucano ks. Bismarkowi, że on podtrzymuje w Europie uciążliwy militaryzm i niepewność stosunków, które co chwila się rwą, wiążą i wymagają uspokojenia strwożonej opinii. Zarzut ten jest tylko do pewnego stopnia słusznym. Rzeczywiście, po trzech wojnach i zaborach pruskich Europa uzbroiła się mocniej i kosztowniej, ale nie ulega wątpliwości, że od lat trzynastu kanclerz niemiecki nie chce już próbować szczęścia orężem, że przeciwnie, usiłuje zapobiegać starciom i otoczyć się gronem przyjaciół, ażeby śród nich przetrawić zdobycze. Ostatni okres jego działalności organizacyjnej na wewnątrz i rozjemczej na zewnątrz dziwnie odbija od poprzedniej epoki śmiałych rzutów i ryzykownych przedsięwzięć. Setki planów wojennych, o które go prasa posądzała, okazały się tworami jej wyobraźni i coraz widoczniej występuje fakt, że Bismark, pokonawszy Austryę i Francyę, o wojnach myśleć przestał. Ale logika nowowytworzonego układu Europy zmusiła jego do ubezpieczenia nabytków a inne państwa do zrównoważenia swych sił wojskowych z siłami potężnego zwycięzcy. Może niedaleką od prawdy jest wyrażona kiedyś hipoteza, że kanclerz niemiecki, pamiętny słów Moltkego: „musimy albo zbankrutować, albo rozpocząć nową wojnę,“ pragnąłby ogólnego rozbrojenia; ale budząc postrach, jednocześnie mu ulega i zdjąć pancerza ze swego narodu nie może. Tym sposobem zakreśliło się dla polityki nowoczesnej błędne koło, które coraz bardziej podnosi budżety wojskowe a jednocześnie — wypuszcza gołębie z gałązkami oliwnemi.

Pomimo tych gońców marzenie starego Kanta, chociaż odzywa się w mowach tronowych, pozostaje niespełnionym snem. Rozmyślając o „wiecznym pokoju,“ żądał on, „ażeby państwa przygotowane do wojny słuchały rad filozofów.“ Surowa, w etyce nieczerpiąca dla siebie wskazówek rzeczywistość śmieje się z takich rad; ale z drugiej strony to jest niezawodnem, że dziś tylko filozofowie wierzą w możliwość trwałego pokoju przy warunkach, których życie stanowczo odmawia. Natomiast politycy, liczący się z tem, co jest, nie mają takiej wiary nawet wtedy, gdy ją zbudzić usiłują. Bo ten układ stosunków, który nazywają naturalnym i niezmiennym, sami uważają w duszy za sztuczny i nietrwały.

Nietylko to jest ciągłem, co całe, ale i to, co łatane. Chociaż więc barometr giełd wskazuje często burzę, chociaż świat polityczny w kilka tygodni po najuroczystszem zapewnieniu pokojowem uczuwa trwogę i czeka nowego, Europa nie stoi w przededniu wojny i bardzo długo może żyć w pokoju łatanym. Opozycya parlamentu niemieckiego poskarży się na deficyt, wychłoszcze budżet wojskowy, ale kolei spraw nie zmieni, kieszeń zaś podatkowa silniejsze pompowanie wytrzyma. Podobnych rezultatów można oczekiwać skądinąd. A gdy rozlegną się grzmoty, znów wyleci gołąbek z gałązką oliwną i uspokoi bojaźliwych. *Usque ad finem!* To jest? Przyszłość spogląda na bieg spraw ludzkich z twarzą tajemniczą, milczy i pozwala tylko wróżbiarzom zgadywać swe zamiary.

KOLONIZACYA NIEMIECKA.

Prasa miejscowa niejednokrotnie podejmowała sprawę kolonizacyi niemieckiej w Królestwie, grożącej, zwłaszcza zachodniemu pasowi kraju, zalewem obcych i, co gorsza, wrogich nam żywiołów. Nie można jej zarzucić braku energii i dobrych chęci w zakresie możliwego wpływu: nawoływała do przeciwdziałania, błagała, wyklinała nawet z teatralną przesadą „kurczących ojcowiznę,“ wymyślała wreszcie środki zaradcze, które jednak, chyba to nie jej wina, pozostały w dziedzinie pobożnych życzeń. Obecnie *Warsz. Dniewnik*, poruszając tę kwestyę ze stanowiska interesów państwowych, dochodzi do tych samych wyników, które już poprzednio wygłoszone były w prasie naszej, ale ponieważ kwestya to niezmiernej wagi, sądzimy, że powtórzona edycya znanych prawd, opatrzonych stemplem urzędowej aprobaty, nie zostanie bez korzyści dla czytelników.

Przyczyn wzrostu kolonizacyi niemieckiej *Dniewnik* dopatruje w gęstości zaludnienia sąsiedniego kraju, we względnej taniości ziemi u nas, w obdłużeniu własności ziemskiej i wreszcie w niskim kursie waluty. Autor wszakże sądzi, że te naturalne warunki nie mogły wytworzyć kolonizacyi w rozmiarach takich, w jakich istnieje. Mniejsza zresztą o to, czy jest ona wynikiem konsekwentnie stosowanego systematu, czy też skutkiem ślepej siły żywiołowej, bardziej jeszcze niebezpiecznej, aniżeli wszelkie systematy ludzkie.

Jądro kwestyi słusznie widzi *Dniewnik* nie w tem, że niemcy kupują u nas ziemię i zakładają fabryki, ale w tym fakcie, że za nimi ciągną rzesze niemieckich oficyalistów i robotników. Względy techniczne nie grają w danym wypadku żadnej prawie roli, bo nietylko specyalne, ale i najzwyklejsze zajęcia przypadają w udziale obcym. To samo powtarza się i w majątkach ziemskich, w których z biegiem czasu cała prawie służba składa się niemców. I tu i tam tylko najcięższe i najgorzej opłacane obowiązki dostają się krajowcom, którzy pomału schodzą do roli inwentarza roboczego. Podobny sposób postępowania nie może być objaśniony brakiem odpowiednich pracowników, ponieważ przybysze obsadzają jedynie posady, zajęte przez tuziemców, niemniej biegłych w swej specyalności i lepiej obznajmionych z warunkami miejscowymi. W danym razie cudzoziemcy

N I E.

Po długiej, przewlekłej chorobie, która go wyniszczyła do szczętu, starzec konał powoli. Od trzech dni ciało jego sztywniało. W sercu jeszcze słychać było głuche szmery. Lewą rękę podrywał chwilami konwulsyjny kurcz, rzucając nią o ścianę drzwi, prowadzących do sąsiedniego pokoju. Oddech uciekał rzężeniem, słabo podnoszącem piersi. W oczach błądziły cienie myśli—coraz mniej przytomnych. Wargi poruszały się chwilami do mówienia; chrapliwy dźwięk niedołężnie zaczynanych słów ginął w przestrzeniach dużego pokoju; odpowiadała mu głucha cisza, jakoby echo nadchodzącej śmierci. Eter, wlewany w gardło z bezlitosną przemocą, podtrzymywał resztki zbuntowanego życia.

Rodzina, zgromadzona około konającego, śledziła każde jego poruszenie. Głowa starca płonęła, choć końce ramion już przestawały uginać się pod dotknięciem.

Ciepły letni wieczór stanowił tło, na którem rozgrywała się walka bytu ze zniszczeniem. Łzy i jęki zrozpaczonych bliską utratą drogiej osoby, czy też tylko przejętych grozą śmierci, przerywał odgłos dalekich nawoływań, wpadający przez otwarte okna wraz z falami powietrza, pełnemi tego niewidzialnego, a jednak dostrzegalnego ruchu, który znamionuje atmosferę pogodnych letnich nocy.

Henryka stała, oparta o poręcz krzesła, patrząc w twarz ojca. Była jak w letargu. Zgorączkowany oddech chorego, pomieszany z zapachem jaśminu, płynącym od strony ogrodu, odurzał ją. Sennemi oczami wodziła po konającym, nie będąc w stanie zwrócić ich w inną stronę. Na bladych wargach, na czole, pod powiekami miała wyryty wyraz osłupienia raczej, aniżeli rozpaczy. Nie mogła w tej chwili zrozumieć całej doniosłości tego, na co patrzyła matowemi, szeroko rozwartemi źrenicami. Z piersi byłby się wyrwał prędzej okrzyk spazmatycznej wesołości, aniżeli jęk żalu. Tylko coś go wtłaczało napowrót. Ołowiany ciężar zwierał usta.

Światło rozpalonej tradycyjnie gromnicy łamało się żółtym blaskiem na ściągłych jej policzkach.

Konający starzec długo miał oczy zwrócone nieprzytomnie w kierunku, w którym zarysowywała się oświetlona twarz najstarszej jego córki. Naraz poruszył niedołężnie głową, chciał ją podnieść, mięśnie twarzy ściągnął biegnący po nerwach wysiłek woli. Lewą rękę podrzucił kurcz, zginając w niej drugi palec, jak gdyby na znak wezwania.

Henryka bezmyślnie posunęła się naprzód i uklękła przy łóżku ojca tak, że głowę mogła oprzeć na jego piersiach.

Na twarzy starca odbiło się zadowolenie: spełniono część kołaczących do mózgu jego życzeń. Patrzył na córkę. Głowa całym ciężarem zwisła w bok, wargi drgały nerwowo. Składał usta, to znowu je otwierał: przeciągłe, gardlane rzężenie przechodziło w urywane, niewyraźne bełkotanie, którego nikt z otoczenia nie mógł zrozumieć.

Naraz w oczach przełamało się kilka błysków, zdradzających całkowitą świadomość. Starzec podniósł głowę cokolwiek nad poduszki; podtrzymano go: przybrał prawie na pół siedzącą postawę. Ściągnął brwi i przez chwilę zdawał się gonić wyrazy, które uciekały z pamięci. Wreszcie, urywając głos na każdem słowie, szamocąc się z niesfornemi, sztywniejącemi już wargami, rzekł wyraźnie, tak że wszyscy życzenie jego usłyszeć mogli:

— Wyjdź za Adama!

stoją na gruncie prawa, w niczem nie wykraczając przeciw jego literze; należy więc tylko szukać prawnych środków dla zapobieżenia szkodom, jakie przynosi społeczeństwu i państwu ich wyłączność narodowa.

Jednocześnie wszakże sądzi *Dniewnik*, że środki rządowe, najbardziej energiczne i szeroko pojęte, nie mogą powstrzymać potoku obcej kolonizacyi, jeżeli społeczeństwo zachowywać się będzie apatycznie w tej sprawie. Autor mimochodem oddaje sprawiedliwość prasie polskiej, która wskazywała groźne następstwa kolonizacyi, ale dodaje, że pomimo tych ostrzeżeń obywatele chętnie sprzedają ziemię niemcom. Społeczeństwo miejscowe, oprócz artykułów dziennikarskich, niczem nie okazuje dążenia do utrzymania ziemi rodzinnej w swych rękach. Przewidywane zmniejszenie napływu cudzoziemców nie będzie bynajmniej rezultatem energii miejscowych obywateli, lecz współzawodnictwa Ameryki, zmniejszającej dochody gospodarstw i polityki kolonialnej Bismarka, wskazującej niemcom nowe widnokręgi dla emigracyi. Na zakończenie autor powtarza raz jeszcze, że żadna pomoc na nic się nie przyda ludziom i społeczeństwu, z apatyą spoglądającemu na swe najbliższe i najważniejsze interesy.

Kolonizacya w znacznej części, jak *Dniewnik* przyznaje, jest rezultatem niezależnych od społeczeństwa warunków. Lecz gdyby obywatele ziemscy w patryotycznym uporze dorównali nawet Temistoklesom i Leonidasom, nie są w stanie zmienić ani stopnia zaludnienia sąsiednich krajów, ani niskiego kursu waluty, a co za tem idzie — względnej taniości ziemi w Królestwie.

Opinia publiczna, o ile wyraża się w prasie całej, bez różnicy odcieni piętnowała zawsze zbywanie ziemi obcym bez konieczności potrzeby, musiała jednak milcząco rozgrzeszać tych, dla których nadwyżka ofiarowana przez niemca decydowała o możności wyżywienia rodziny, wychowania dzieci itp. Jeżeli nam można co zarzucić w tym razie, to chyba przesadę, wyrażającą się nieraz w bezlitosnem potępianiu ludzi, którzy na bohaterów nie mieli kwalifikacyi a pić i jeść chcieli, albo np. w przestrogach udzielanych chłopom wierszem i prozą, żeby nie łakomili się na niemieckie talary, kiedy powszechnie wiadomo, że włościanin polski czepia się ziemi rękami i nogami a raczej ją od niemca odkupi, aniżeli mu sprzeda. Pod tym względem w społeczeństwie i prasie nie ma u nas dwóch zdań i jeżeli środki prawne, mające przeciwdziałać napływom obcej ludności, wejdą w wykonanie, szczere, współdziałanie ludności towarzyszyć im będzie.

Dniewnik nie wypowiedział jaśniej i szczegółowiej, jakie środki ma na myśli. Bo oto *N. Wremia* np. poważne wywody jego zaopatruje komentarzem, w którym lekkomyślność właściwa temu organowi walczy o lepsze z nieprzebaczoną naiwnością. Petersburski dziennik, który niedawno jeszcze głosił krucyatę przeciw niemcom nadbaltyckim, osiadłym od sześciuset lat w kraju, zmienia nagle front i uprzejmie zaprasza niemców w gościnę do... naszego domu. Zaproszeni powinni wypełnić jeden tylko warunek, przyjąć poddaństwo rosyjskie, a potem: „miłosti prosim." (dosłownie). Formalność ta odrazu zrobi z niemców dobrych obywateli i wiernych poddanych. Dla p. Suworyna zmiana poddaństwa wystarcza, czy zaś wystarcza dla nas, albo dla widoków rządu, pojętych głębiej, niż zadośćuczynienie prostej formalności policyjnej, to go nie obchodzi zgoła. Jest to ciekawy przyczynek do poglądów p. Łamańskiego, który w zapale słowiańskiej jednoczącej polityki protegował wyłączność niemiecką w Królestwie, byle tylko nie dopuścić spolszczenia ich.

Na szczęście „nowo-wremićnskie głosy nie idą pod niebiosy." Poważnie pojęty interes państwa żąda czego innego. Wywody *Dniewnika* są wskazówką, że zapatrywania wyższych władz miejscowych są identyczne niemal z poglądami społeczeństwa i prasy w tej sprawie. Rząd nie może pragnąć, ażeby obcy przybysze wypierali miejscową ludność, pozbawiali ją pracy i chleba, wytwarzając nowe zastępy wydziedziczonych i głodnych proletaryuszów.

Ponieważ sądzimy, że „upadająca własność większa" nie może być podwaliną mocnego gmachu społecznego, nie pragniemy jej więc sztucznie podtrzymywać i ratować od przejścia w inne ręce. Nie chcemy tylko, żeby to były ręce niemieckie. Dajmy jedynie chłopu możność współzawodnictwa przy kupnie, a już on kęsa ziemi z ręki nie wypuści. Projektowane banki włościańskie niewątpliwie położyłyby kres niemieckiej kolonizacyi. O ile pamiętam, *Dniewnik* w roku zeszłym posiłkował się i tym argumentem przy wykazaniu użyteczności banków.

Trudniej przeciwdziałać napływowi niemców w przemyśle, ale i tu wiele zrobić można. Nie wierzymy w wszechmoc zakazów i w dobroczynny wpływ środków wyjątkowych, sądzimy wszakże, że byłoby zupełnie słusznem wymaganie od techników wyższych i niższych posiadania patentów z ukończenia miejscowych zakładów naukowych. Interwencya państwa w tym zakresie jest najzupełniej uprawnioną i niektóre prawodawstwa fabryczne żądają od techników i oficyalistów pewnych, określonych rękojmij, że będą umiejętnie i sumiennie spełniali swe obowiązki. Gwarancyę taką najwięcej zapewnia ukończenie nauk w zakładzie, kontrolowanym przez rząd. Przepis ten pociągnąłby za sobą założenie pewnej liczby niższych i średnich szkół technicznych. Dla uniknienia zbytniej jednostronności, krajowcy, którzy pobierali nauki zagranicą, pod pewnymi warunkami mogliby być zrównani w prawach z wychowańcami miejscowych zakładów. Są to luźne tylko projekty, ale jak zaznaczyliśmy wyżej, nie znając treści proponowanych środków przeciwdziałania, dla wyczerpującej oceny nie mamy gruntu.

W.

Z GALICYI.

Lwów, 20 listopada.

Jeszcze *schweiggeld*, *Laenderbank* i *Transversalia*. — Rachunek. — Kto wziął. — Czego się nie dowiemy. — Z teatru. — „Ortologiczna" filozofia p. Buszczyńskiego. — Przymusowe spokrewnienie. — Tolerancya. — Naruszenie praw przyrodzonych. — Skrucha i reflcksya. — „Wolny rozum." — Potęga miłości.

Doprawdy, obawiam się, aby mnie kto nie posądził o szczególniejsze zamiłowanie w skandalu. Tyle razy już bowiem mówiłem na tem miejscu o *schweiggeldzie* i (za pozwoleniem) *Laenderbanku*, iż mnie samego obrzydzenie już zbiera na myśl, że i dziś przedmiotowi temu poświęcić muszę bodaj pół szpalty jeszcze. Cóżem ja winien jednak! Nie jam kucharzył i gotował tę ucztę, którą was raczę; skoroście zresztą spożyli pierwsze dania, pozostańcież już do końca biesiady. Na pociechę nadmienić muszę, że są to ostatki; wątpię przynajmniej, aby w archiwum handlu sprawami publicznemi dało się jeszcze coś wyszukać.

Leży przedemną następujący rachunek:

Hezky (pośrednik, „obdzielacz") honoraryum	1,500 złr.
Morgenpost	300 „
Presse (*die alte!* — organ hr. Taaffego)	2,000 „

Krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło, głowa zwisła napowrót. Utkwił matowe źrenice przed siebie w poręcz łóżka. Naraz zwrócił je znowu w bok na klęczącą Henrykę. Przez kilka sekund wodził niemi niespokojnie, aż, słabo otwierając usta, wyszeptał:

— Przysięgnij!

Głucha cisza zaległa pokój. Matka, oparta o krawędź łóżka, łkała, tłumiąc każdy głośniejszy wybuch piersi. Starsi bracia stali zasępieni po kątach przy oknie; najmłodszy, siedmioletni chłopiec usiadł pod stołem i chował lub wychylał głowę, strwożony.

Duszno było wszystkim. Śmierć zdawała się kłaść kir na czoło i usta każdego; przez otwarte okna rzuciła swoje krepy i sama suwała się powoli w długiej, żałobnej szacie od rogu do rogu. Za słabym szelestem czarnego jej welonu powstawały, jak uśpione ćmy nocne, echa niepokoju i oczekiwania. Każde serce biło, każdy wzrok szukał czegoś, jak gdyby ręka czarnej pani miała się wydłużyć i sztywnymi palcami przykryć oczy konającego.

Henryka tylko na nic nie czekała, niczego nie wyglądała. Blade czoło podniosła w górę, ścięła wargi, jak gdyby nie chcąc przepuścić przez nie jednego atomu powietrza.

Starzec nie odwracał od niej głowy. Wyciągnięta jego ręka ze zgiętym palcem zdradzała naprężenie pracujących ostatnich wysiłków woli.

— Przysięgnij! — zabełkotał po raz drugi i trzeci, aż czoło jego zmarszczyło się gniewnie. Cała postać zdawała się wyciągać w kierunku drzwi, o które stał oparty młody człowiek.

Sylwetka jego, rzucona przez łamiące się światło na ścianę w formie cienia chińskiego, przedłużała jego postać i skrzyżowane ramiona. Stopy miał jakby przykute do ziemi, plecy jakby przyrośnięte do framugi drzwi. Oddychał powoli—i jego dusiła ciężka, gorączkowa atmosfera, brzemienna grozą konania.

Gwałtowny kurcz podrzucił rękę starca; nim opadła na posłanie, schwycił nią ramię Henryki: zgięte palce zdawały się przebijać jej ciało.

— Przysięgnij! — wybełkotał po raz czwarty.

Pałające czoło i usta spalone wyrażały oczekiwanie.

— Przysięgam—szepnęła Henryka.

Cichy jej głos przebił ciężkie powietrze i przełamał się echem w każdym rogu pokoju. Wybiegł zeń jakoby ciemną, niekształtną masą cały rój szarańczy, która zaległa mózg dziewczyny i świdrowała go z głuchym łoskotem.

Za Henryką stanął młody człowiek, którego sylwetka przesunęła się od strony ściany przed łóżko konającego. Starzec objął matowemi źrenicami córkę i tego, kogo chciał mieć za zięcia. Zmarszczki na czole rozprostowały się, usta zadrgały, jak gdyby składając się w uśmiech. Leżał parę chwil spokojnie, jak ukołysany pieszczotą. Potem chrapanie i rzężenie zaczęło zrywać gardło coraz silniej, aż po trzech długich jękach, w które zbiegły się ostatnie ruchy zbuntowanych członków organizmu, zamarło mu życie.

Żona i służący zamknęli otwarte powieki i czekali, aż ciało skrzepnie zupełnie.

Henryka stanęła w oknie.

W ciepłej, cichej, letniej nocy kołysała swój żal. Już prawie przestała tęsknić za straconym ojcem. Czuła znużenie: byłaby zapadła w sen, z którego wstaje się z głową odurzoną, z myślami rozwianemi, jak po pozornej śmierci.

Szelest liści topoli rzucił jej nad skronie słowo: „przysięgam." I długą żałobą, kirem całego życia zaległo ono młode serce. Przy-

Vorstadt-Zeitung	1.000	zlr.
Tretschiner	200	„
Gemeinde-Zeitung	150	„
Wiener Carricaturen (humoryst.)	100	„
Extrablatt	1,300	„
Wiener Allgemeine Zeitung . . .	2,000	„
Wiener Boersen-Zeitung . . .	50	„
Neues Wiener Tagblatt	3,000	„
Neue freie Presse	28,000	„
Dziennikarstwo polskie . . .	8,500	„
Razem .	48,600	złr.

No, i niechże zaprzeczy mi kto teraz, jeżeli będę twierdził, że istnieje grunt wspólny, na którym porozumienie się najskrajniejszych żywiołów politycznych jest możliwem! A może myślicie, żem sobie z palca wyssał zgodę starej *Pressy* z *Nową*? Dziennikarstwa polskiego z centralistycznymi *Blattami* i *Zeitungami*? Wiedźcież zatem, że rachunek powyższy wyjęty został z aktów sądowych w Wiedniu; opiera on się mianowicie na zaprzysiężonym zeznaniu dyrektora *Laenderbanku*, Samuela Hahna, który otrzymał od bar. Schwarza 100,000 złr. na „wydatki żurnalistyczne.“ Z kwoty tej wzięły wyżej wymienione pisma 48.600 złr., resztę aż do 100,000 dostała śp. *Tribüne*, organ prawicy, redagowany przez nieżyjącego już staroczecha Skrejszowskiego. Tej, na szczęście już zatrzymanej fabryce opinii publicznej dawał b. Schwarz 5—8,000 złr. miesięcznie, oprócz tego sprawił jej dwie maszyny drukarskie.

Pomijając inne, przechodzę do ostatniej, najciekawszej dla nas i najsmutniejszej zarazem rubryki: „Żurnaliści polscy.“ Rozkłada się ona na następujące pozycye:

1) sekretarz nasz (*Laenderbanku*), Szczepański Alfred, który zarazem pisze wszystkie artykuły, *od nas samych pochodzące* (ha, ha, ha! brawo!!) — 2,000 złr.

2) korespondent Eibenschütz w Krakowie 500 złr.

3) profesor uniwersytetu Straszewski w *Gazecie krakowskiej* — 1,000 złr.

4) pośrednik nasz dziennikarski we Lwowie 5,000 złr.

Co do pierwszej i drugiej pozycyi nie mam już nic do nadmienienia, chyba tyle, że p. Szczepański był dawniej liberałem — i czerwonym liberałem, a jest także poetą (Alf: *Na greckiej lirze*). Pozycya trzecia dość dziwna. Faktem jest, że ani *Gazeta krakowska*, ani tem mniej prof. Straszewski nie wziął *schweiggeldu*, rzecz się bowiem ma tak: *Gazeta* jest przedsiębiorstwem akcyjnem. Dziesięć akcyj tego pisma sprzedał prof. Strasz. posłowi krakowskiemu w Wiedniu, dr. Arnoldowi Rappaportowi, za sumę 1,000 złr. Tak tłomaczy sprawę *Gazeta* i dr. Str. Ale skąd kwota powyższa znajduje się w zapiskach *Laenderbanku?* W inny sposób wyjaśnić tego nie można, jak tylko, że dr. Rapp. kupował akcye dla banku i wprowadził w błąd p. Straszewskiego.

Pozostaje pozycya czwarta. Niestety, nie dowiemy się już podobno nigdy, ani tego, kto „obdzielał,“ ani też, kto został „obdzielony.“ „Ze względu na poufny charakter tej wypłaty — zeznaje do protokółu dr. Hahn, której jednak *rzeczywistość* wykazuję moją asygnatą do kasy, byłoby dla pośrednika naszego we Lwowie bardzo przykrą rzeczą być słuchanym w tej sprawie; dlatego upraszam, aby tego zaniechano.“ Sąd przychylił się do żądania dyrektora *Laenderbanku*, a my zmuszeni jesteśmy zrezygnować z wyśledzenia dalszych szczegółów. Dalekim będąc od notowania pogłosek, chociaż mi na nie przysięgają, zanotuję tylko fakt. Owóż p. Gniewosz, redaktor *Strażnicy polskiej* i *Sztandaru polskiego*, otrzymał 500 złr., o czem wątpić nie mam najmniejszego powodu, ile że sam p. G. pokwitował publicznie w jednem ze swoich pism odbiór wymienionej sumy. Z racyi tej nie potępiam redaktora *Strażnicy* wcale, za złe mu tylko biorę, że płatając *Laenderbankowi* figla, wziętą łapówkę zatrzymał dla siebie, a nie oddał jej na jakiś cel publiczny. Byłoby to nietylko piękniej, ale i dla niego samego korzystniej, bo uchroniłoby go od podejrzeń.

„Że obdzielone dzienniki — mówi jeszcze p. Hahn — przyznają się wprawdzie do otrzymanych kwot, ale twierdzą, że dostały je nie na popieranie celów kolei transwersalnej, wynika to stąd, że starają się, aby nie były wmieszane do tej sprawy. W rzeczywistości jednak dla żadnego z dotyczących żurnalistów nie mogło być nigdy wątpliwem, w jakim celu otrzymał *Betheiligung*, albowiem przypada ono regularnie w porze, kiedy odnośny interes budowy kolei transwersalnej był w toku.“

Tem oto rozwianiem wszelkich wątpliwości kończę rzecz moją o *schweiggeldzie*, wstrzymując się od wydania sądu na tych, którzy go wzięli. Bo nie płuca, ale chyba piekło całe musiałbym mieć w piersi, aby ogłosić wyrok tym handlarzom ojczyzny!..

Przejdźmy do spraw weselszych. Na razie wprawdzie nie mam nic takiego, czembym wasze serca mógł rozradować. A teatr? Prawda! Po trzech miesiącach ciszy muszę zaznaczyć ożywienie pewno w gmachu hr. Skarbka. Wszak sezon operowy rozpoczął się jeszcze z początkiem listopada! Wprawdzie jedna primadonna otrzymała zaraz po pierwszym występie koszta powrotu do domu, ale pozostała nam panna Piave, piękna panna Piave, milutki i niesfatygowany jeszcze mezzo-sopran. Siły tego roku są przeważnie włoskie, a więc p. Rubirato, dźwięczny baryton i dobry aktor, tudzież p. Villa, nieszczęśliwy tenor, raz *di forza*, to znowu *di grazia*, ale nieforsujący zgoła małego swego głosu, a grający bez gracyi. Wygląd jego niepozorny, a w przebraniu scenicznem częstokroć — śmieszny. Zarzucają mu także, że wysokie tony bierze „z głowy,“ podobnie jak innej śpiewaczce, że tremoluje „szczękami,“ ale nie znam się na tem, bo mi zresztą samo słownictwo patologii śpiewaczej jest zupełnie obcem...

Z sił swojskich, nieznanych prawie dotychczas, dostarczył nam sezon bieżący dwu. Sympatycznego basa w osobie p. Jeromina przysłała Warszawa — nową śpiewaczkę dramatyczną wyprodukował Lwów. Jest nią pani Arklowa, żona tutejszego lekarza, lat „około $22\frac{1}{2}$,“ jak zapewnia jeden z tutejszych reporterów, izraelitka. Znana dotychczas jedynie z estrady koncertowej—wystąpiła na scenie po raz pierwszy, jako Walentyna w *Hugonotach*, zyskując odrazu powszechne uznanie publiczności i krytyki pisanej. Głos ma wielki, świeży, gładki, dźwięczny — słowem, piękny, albo, jak chcą inni, „cyzelowany w srebrze, a przetkany rosą poranną.“ No, nic wielkiego — ja także musiałem tak pisać, gdym był młodym!...

Ponieważ pani Mellerowej nie mam dotychczas przyjemności znać osobiście, mógłbym także napisać, że jej *Chata za wsią* ani się nie umyła do przeróbki pani Zapolskiej. Mógłbym to zaś powiedzieć tem śmielej, ile że dziecięcia wspólnych usiłowań pani M. i p. Galasiewicza oczy moje nie oglądały wcale. Jakkolwiekbądź rzeczy się tam już mają w powyższym względzie, dramat p. Zapolskiej, przerobiony z *Chaty za wsią* Kraszewskiego, jakkolwiek jest ustępami piękny i misternie robiony, grzeszy rozwlekłością i zbyt niewolniczem trzymaniem się oryginału; brak mu także tej okrasy, jaką posiada przeróbka warszawska: muzyki i wystawy pięknej. Artyści grali dobrze; jedynie dla siebie samej (p. Zap. jest artystką sceny lwowskiej) napisała autorka trochę za trudną rolę.

Czyniąc tę uwagę, nie przypuszczam nawet, abym zranił nią zbyt boleśnie autorską ambicyę p. Śnieżkowej (jest to drugie nazwisko naszej nowelistki). W każdym razie, sądzę, porozumienie byłoby możliwem. Są jednak ludzie, z którymi żyć trudno i paktować niepodobna zgoła, z tej racyi, że oprócz siebie i swoich zapatrywań nie widzą oni na ziemi nikogo i niczyich przekonań nie uszanują. Ile razy mówię o tem, przychodzi mi na myśl między innymi także p. Stefan Buszczyński, twórca „ortologicznej“ filozofii. Drukował on niedawno w *Reformie* krakowskiej szereg odczytów swoich p. t. „Słowiańska sprawa,“ mianych w uniwersytecie bolońskim. Rzecz ta ma jeszcze drugi napis: „Polska i prawa narodów.“ Który lepszy — nie wiem, w każdym razie temat, jak widzicie, bardzo obszerny. To też obok zrozpaczonej historyi, której dalsze życie zbrzydło już zupełnie, obok etnologii, o pomstę do niebios wołającej — znajdujemy tam cały legion odpowiednio pokurczonych albo wydętych cyfr statystycznych — kawałeczek słowiańskiej socyologii — szczyptę takiejże filozofii — zasad etycznych wreszcie garść sporą, którą posypał autor hojnie całe swoje wypracowanie od początku do końca. Jest to prawd[illegible]wa kopalnia — prawd kopalnych, albo t[illegible] tak świeżych i oryginalnych, że człowieka, nieprzygotowanego na nie, mogą wprawić w osłupienie. P. Buszcz. ułożył nadt[illegible] nowy dekalog i nowy

---

szłość zarysowała się ciemna, głucha, powikłana, jak skręty ścieżki, niknącej w przestrzeni: bez nadziei i bez oczekiwania.

Na trzeci dzień w dżdżysty, zamglony poranek chowano zwłoki starca. Po nim nic nie pozostało na ziemi, chyba ta utajona siła przyrodzenia, co atomy w atomy przetwarza. Henryka w trumnie ojca złożyła młodość swoją i władzę kochania, złożyła marzenia i szept pragnień, złożyła wszystko, czem oddychała: wolność, swobodę, umiłowanie życia. Został wątły kobiecy organizm, na który nieprędko miała przyjść chwila rozprzężenia; został szkielet umysłu o zawiędłych, spaczonych członkach, z których, jak niedołęstwo starości, przeglądało zeschłe widmo przysięgi.

Była kochaną, lecz nie kochała sama. Z pustki życia, z budzących się po posępnej drzemce ruchów serca, wskazującego na szczęście innych, jak na złudne widma, które podniecają w nas siłę i doniosłość pragnień; ze wstrętu do męża i do własnych dzieci powstawało dla niej pytanie:

„Czy przysięga, dana konającemu, nieprzytomnemu starcowi, który nie ma prawa nakreślać życia i nie ma prawa zdziecinniałym, chorym umysłem krępować swobodnego biegu losów, czy taka przysięga powinna obowiązywać?“

Po latach łez i wewnętrznego jątrzenia się uczuć, które czego innego czekały; po latach rozterki, która na białem jej czole wyryła bruzdy zrozpaczenia, ściągnęła łuki brwi, nadała wargom często, nerwowe drganie i podnosiła piersi tłumionem łkaniem; po latach, które nie odkryły przed nią lepszej doli i znośniejszej przyszłości, powiedziała — „nie.“

„Nie“ już nie dla niej, ale dla tych, co, jak ona, miałyby uledz przemocy tradycyi w obowiązkowem wypełnianiu woli umierających; „nie“ dla tych, co jej śladem chciałyby złożyć całą swoją istność w grobie trupa.

Powiedziała sobie, że rozkrzyczy to „nie“ na cały świat, aż dosięgnie uszów zniewolonych, jak ona.

Może zatrzyma kogo w połowie drogi ku własnej niedoli...

C. Walewska.

katechizm, które „przed wszystkiemi innemi gałęziami nauk ogłoszone być winny w szkołach elementarnych, czasopismach, na ambonach i publicznych placach.“ Widocznie tylko zbytek skromności kazał zapomnieć polskiemu Mojżeszowi o szpitalach waryatów. Pamięta on natomiast o opozycyi, w której bratać się każe najsprzeczniejszym kierunkom narodowym, społecznym, politycznym i filozoficznym. „Kosmopolici i ich zwolennicy (ciekawe rozróżnienie!) — powiada — zarówno, jak i bezwyznaniowcy, komuniści i tym podobni (a to klasyk!), powinni być uważani, jako naruszyciele praw przyrodniczych, jako wrogi wolności i społeczeństwa...“

No, i cóż? Nie można osłupieć? Już to wogóle panowie z przeciwka odznaczają się osobliwszą tolerancyą, co się jednak mówi tutaj tylko mimochodem. Właściwie bowiem wstyd mnie ogarnia, że jestem taką hydrą bezwyznaniową, spokrewnioną z podobnymiż smokami kosmopolitycznymi i komunistycznymi, tudzież „ich zwolennikami i tym podobnymi.“ Na usprawiedliwienie swoje tyle tylko przytoczyć mogę, że jeżeli „naruszyłem prawa przyrodzone,“ to działałem całkiem nieświadomie; wątpię również, aby naturaliści zauważyli z tego powodu jakąkolwiek zmianę w prawach przyrody. Cokolwiekbądź, rozmyślać poczynam, co lepsze: czy siedzieć na własnej ziemi, pracować na niej i dla niej i — milczeć przynajmniej, ale uczciwie i rozsądnie, czy też gonić światami i głowy zawracać włochom, a do kraju zjeżdżać jedynie na uroczystości jubileuszowe? Pytanie to pragnąłbym mieć rozwiązane, ale tylko w teoryi, bo zresztą odstępuję p. Buszczyńskiego pięknej Italii z całą jego „ortologiczną“ filozofią i katechizmem, opartym „na wolnym rozumie.“ Chcecie wiedzieć, co to jest? „Największą sprawiedliwością może być tylko połączenie wszystkich władz umysłowych w jedną zbiorową całość, z usunięciem wszystkich błędów pod wpływem oczyszczonego sumienia. Takie zjednoczenie przedstawiłoby działanie wolnego rozumu, który, oczyszczony, o ile to być może, ze wszystkich błędów, jest jedyną powagą na ziemi. Utwierdza on nawet rozsądną wiarę...“

Ej, p. Buszczyński, to chyba nie „wolny rozum,“ ale z rozumu — wolne żarty!..

Podobno już wyczerpałem cały zapas mojej kronikarskiej teczki. Ach, jeszcze jedno! Pewna młoda (i przystojna) izraelitka w Kałuszu zakochała się szalenie przed kilku laty w pewnym młodym (i dobrze zbudowanym) wieśniaku z okolicy, a żyjąc z nim przez lat kilka: przeszła na łono grecko-katolickiego kościoła.

Co to miłość może!

Rewera.

Z FRANCYI.

Wakujące krzesło w Akademii.—List Daudeta. — Kandydatura Halevego.— *Figaro* i *Petit Journal.* — Zamieszanie idej pomiędzy „hreczkosiejami.“ — Wolnohandlowcy i protekcyoniści. — Vaucorbeil. — Projekt *Figara.* — Sztuczna cholera. — *Les Filles de John Bull.*

Pisząc w tej chwili z Paryża, trudno nie zaczepić albo o wojnę z Chinami, albo o wakujące krzesło w Akademii, albo o cholerę.

Akademia tylko należy do mnie — jako kronikarza. Od wielu dni mówią i piszą wszyscy tylko o niej — ma to podobno dowodzić dobrego gustu paryżan i wielkiego zamiłowania w literaturze, której Akademia jest niby głównym czynnikiem.

Złośliwy Voltaire utrzymywał, „że jest to zalotnica, do której wzdychają wszyscy literaci, do której piszą wieszcze i układają kalembury — póki nie zdobędą jej względów — po czem zostawiają ją w zapomnieniu.“

Ale na dziś, rzeczą główną jest to, że wakuje fotel trzydziesty ósmy, fotel hrabiego Haussonville, ten, który zajmował Courart i na którym siedział najprzód niemy, a pozostawił go wolnym głuchy. Ale zajmowali go również Montesquieu, de Segur i inni.

Współzawodników było w pierwszej chwili bardzo wielu, zwolna jednak zastępy się przerzedziły. Poeta ceniony, ale trochę rozlazły, p. Grenier, wycofał się ze szranek, p. Soulary zrobił to samo, A. Daudet poszedł jeszcze dalej: spalił za sobą mosty, ogłaszając list, że o krzesło akademickie „nie ubiega się, nie ubiegał i nigdy ubiegać się nie będzie.“ Może Daudet ma nadzieję, iż Akademia, pomimo swego podeszłego wieku, zdobędzie go później! Stoją więc w szyku bojowym tylko: pp. Halevy, Manuel, de Bornier i Barbier, który w ostatnich dniach przyjął swą kandydaturę, dalej wielki poeta de Lisle i literat, zawsze ceniony, często podziwiany — p. Jules Lacroix. Ale któż to wie, czy p. J. Lacroix, pogrążony w żałobie, z której zaledwie na chwilę wyrwały go oklaski, zebrane za tłomaczenie *Makbeta*, zechce stanąć do walki. De Lisle zaś przysiągł na Zeusa, że się nie ruszy ze swego zacisza pracowitego.

Pozostaje tedy jeden Halevy, którego kandydatura dla literatów nie będzie źle wybraną. Prace jego są cenne i — co według mnie jeszcze lepsze—rozmaite. Przyjemnie widzieć, że Akademia wzywa do siebie ludzi, którzy nie utonęli w kierunku t. z. akademickim, dobrze, że ona myśli o tem, co kandydat napisał, a nie, żeby myślał o niej, pisząc swe dzieło.

Halevy jest autorem dramatycznym, powieściopisarzem i moralistą. Wesołość przyzwoita może gościć wszędzie, dlaczegóż więc robić tę dobrowolną zniewagę dla Akademii, stanowiąc regułę, by do niej wchodzili tylko ludzie z zapadniętymi policzkami i bladą twarzą? Trzeba odrzucić przesąd, utrzymujący, że jest literatura wesoła, która prowadzi do wszystkiego, i literatura smutku, która prowadzi do Akademii. Akademia, która wyklucza z pośród siebie śmiech nie jest... *francuską!.* Śmiać się umiejętnie z filozofów, jak Renan, śmiać się zdrowo i głośno, jak Augier, śmiać się dziecinnie i delikatnie, jak Labiche, śmiać się po parysku, trochę melancholicznie, można z Halevym!

Śmiać się nareszcie z tych dzienników, które przy dzisiejszej walce protekcyonistów i wolnohandlowców, spierających się o uchwalenie prawa przywozowego na wszystkie produkty rolnicze, chcą zarazem być przedstawicielami protekcyonizmu i wolnego handlu.

Bo i cóż to jest protekcyonizm? Są to propozycye w powietrzu, oparte na bezwzględnem zaufaniu dobrej wiary ludzi.

Przykładem *Figaro* z dnia 25 października: „Obfitość zbiorów zredukowała cenę pszenicy, dzięki współzawodnictwu Stanów Zjednoczonych, do 15 franków za hektolitr, co jest najwidoczniejszą ruiną dla rolników. To też wszyscy są zaniepokojeni. Naszym ministrom brak energii; przygotowali oni prawo do podniesienia cła na zboże, ale cofnęli się przed protestem syndykatu robotników Paryża. Wieśniak nie może agitować, podawać próśb, ale on czuje, że nie może więcej płacić czynszu dzierżawnego. Wszyscy robotnicy z prowincyi nie widzą zajęć na rok przyszły, łączą się z wieśniakami, aby żądać podwyższenia opłaty na zboże, przychodzące z kraju, który uderza na nasze produkty.“ „...Koniec końców, nigdy wieśniacy nie byli bardziej oburzeni na Rzeczpospolitę, jak w tym roku.“

Dla zrozumienia tego ustępu trzeba wiedzieć, że *Figaro* drukuje 80,000 egzemplarzy, co się równa 200,000 czytelników codziennych, ludzi, którzy nie mają własnych zasad, ale żądają, aby im podawano — surowe czy ugotowane — chociażby nawet spowodowały niestrawność żołądka.

A *Le petit Journal*—czyli nasz *Kuryerek*—jak on młynkuje, ażeby się wszystkim podobać a nikomu nie narazić. Szczytem jego liberalizmu jest to, co Courcelles - Seneuil nazywa „sofizmatem wzajemności.“ Gdyby miał dewizę, brzmiałaby tak: „Jeżeliby cały świat był wolnohandlowcem, ja byłbym najpierwszy.“ Nie, mylę się, bo mówi on w jednem miejscu: „My jesteśmy wolnohandlowcami, ale nie chcemy być obdzierani!“ A!... Odbija 7 do 800 tysięcy; czytelników więcej niż dwa miliony — co za wpływ!..

Ale czyż myślicie, że *Figaro* lub *Petit Journal*, pomimo tych zastrzeżeń, nie byłby szczęśliwy, otrzymując codziennie artykuł pióra Bastiata, krótki, zwięzły, silny i zdolny... zwiększyć liczbę abonentów? Gdyby taki artykuł był podpisany przez Levasseura, Leroy-Beaulieugo, Leona Saya, Molinarego, Baudrillarta, Blocka, Passego, J. Simona, Duvala itp. czyżby to nie było fortuną dla tych handlarzów opinii? Bo cóż im więcej potrzeba? Tylko aby artykuły były podznaczone przez ludzi znanych, bez względu na tytuł ich wielkości; dziwactwo, dowcip, talent, nawet geniusz będzie równie dobrze przyjęty!

Uogólniając to, cośmy powiedzieli o dziennikach „bulwarników“ i stróżów, przyznamy, że Garnier miał słuszność, utrzymując, iż prasa jest wielką siłą, ale mogącą służyć zarówno nam, jak i naszym przeciwnikom. To też w tej chwili sprawdza się na francuskich „hreczkosiejach“ (nie szlachcie, bo tej niewiele, a magnaci swe dobra wydzierżawiają), którzy nie wiedzą, co robić. Wolnohandlowcy dowodzą, że podniesienie cła na zboże spowoduje biedę jeszcze większą, bo podroży o 5 ct. na kilogramie chleb, cała zaś suma tego podatku będzie wynosić 540,000,000 fr., płaconych nie wiadomo dlaczego, poco i dla kogo.

Z drugiej strony protekcyoniści, z ministrem rolnictwa na czele, wołają, że rolnicy giną, że rząd ma obowiązek wspierać ich, bo (czytać trzeba pomiędzy wierszami) potrzebni będą na przyszłe ogólne wybory.

Wytworzono więc hałas, któremu znów w świecie artystyczno - muzykalnym wyrównywa śmierć p. Vaucorbeil, dyrektora Opery. Jak się dowiedziałem wraz z całym Paryżem, była to wielkość muzyczna, niestety!.. nieuznana przez niewdzięczny świat. Liczne nekrologi i biografie doniosły, że zmarły był synem znakomitego aktora, który nawet przy szlafroku nosił wstążeczkę legii honorowej; przez wzgląd też na zasługi tego weterana sztuki syn został dyrektorem Opery, a naturalnie dostał także dekoracyę. Bo któż tu jest nieudekorowany w tej Rzeczypospolitej! Lecz nawet zasługi ojca nic nie pomogły do trudnego dzieła administracyi: szczególniej finanse Opery znaleziono w stanie opłakanym. Nie wzięto jednak pod uwagę, że stanowisko dyrektora w tak licznem otoczeniu piękności baletu potrzebuje znacznych wydatków i biednego, szczęściem już pogrzebionego, dyrektora odsądzono od czci i wiary.

Nie zraziło to jednak licznych kandydatów do kierownictwa narodową Akademią muzyki — jak szumnie mówią francuzi — i walka pomiędzy nimi byłaby dobrą sposobnością do zarobku dla dziennikarzy, popierających rozmaite pretensye, gdyby nie grom, który spadł z jasnego nieba, rzucony przez *Figaro...* Dziennik ten dowiódł czarno na białem, że Karol Garnier, budowniczy Opery, popełnił błąd architektoniczny, że błąd ten potwierdził komitet, uznający plan jego jako najlepszy, że nareszcie myli się cały świat, sądząc, iż gmach Opery jest najpiękniejszy i najlepszy na świe-

cie. Według *Figara*, błąd ten można poprawić tylko przez wynajęcie Opery jakiemu bogatemu amerykaninowi, np. na skład pszenicy—dla muzyki zaś postawić teatr tani, dajmy na to taki, jak teatr letni w Warszawie.

Na sposób francuski wyraz „opera“ można rymować z „cholera.“ No, czytelnicy *Prawdy* wierzą, że cholera rozgościła się naprawdę w stolicy nadsekwańskiej? Ja jednak widzę codziennie, że ludzie nie zaniedbują swoich interesów małych czy wielkich, czytam codziennie, że omnibus Odeonu jest ciągle przepełniony i że *le Maître de Forges* robi dla dyrektora szalone interesy. Po cóż więc mówić, że ludność Paryża tak zaniepokojona? Jest to tylko niezgrabność dzienników, które zrobiły sobie specyalność z epidemii, poświęcając jej codziennie całe kolumny, dając krzykliwe tytuły, jak np.: *Cholera w Elysée*, aby powiedzieć, że zasłabł „stójkowy“ —albo znowu: *Wypadek piorunujący*, aby donieść, że tam ktoś zasłabł.

Są jednak złośliwi, zapaleni przeciwnicy Ferrego, którzy utrzymują, że umyślnie w dziennikach stworzono cholerę, by odwrócić uwagę publiczności od kwestyi chińskiej, która jest istotną dla Francyi chorobą, taką samą, jak dla kobiet francuskich idee głoszone po drugiej stronie Kanału przez panie Hubertynę, Auclerc i Maryę Deraisme, które żądają na meetingach równości prawa, przystępu do urzędów publicznych i innych znanych rzeczy z dodaniem nowości, która ma być wynikiem tych żądań — to jest zmian mody.

I pomimo kolących szykan p. Claretie, widzieliśmy w Operze kobiety we frakach, białych krawatach, z „klakami,“ z włosami ściśniętymi *à la Titus*. Inne ukazywały się z monoklem w oku, z trzcinami w ręku, w paletotach—na bulwarach! Paryżanie, którzy mają tyle gustu, utrzymują, że to wcale nieestetyczne ubranie, bo kobieta jest zbudowaną tak, żeby mogła nosić suknie drapujące się, a nie opięte.

Max O'Rell skorzystał ze sposobności i nie zapominając, ile hałasu narobiła we Francyi a głównie w Anglii jego praca pod tytułem *John Bull et son isle*—napisał znów: *Les Filles de John Bull*, gdzie ostro naciera na pojęcia, szczepione młodym panienkom w Anglii, pod wpływem których kobiety tracą pomału czar, jakim nas do siebie przyciągają.

Według zdania autora, wszystko, co poeci i pisarze powiedzieli o skromności i niewinności, które to cnoty miały głównie jednoczyć w sobie angielki, winno być wyskrobane.

Sens zaś tej pracy taki: po co piękne panie żądacie rozszerzenia waszych praw, kiedy według wyrażenia jednego z naszych poetów

„Pomimo wszystkie nasze zalety —
My rządzim światem, a nami kobiety.“

Motyw tej piosnki wszędzie jednaki — tylko się zmienia tempo.

Gnotus.

Z DZIEDZINY EMBRYOLOGII.

Ukazanie się odbitki z pracy p. Nusbauma, pomieszczonej we *Wszechswiecie* i zatytułowanej *Ogólny rzut oka na dzieje i stanowisko nauki o rozwoju zwierząt* (embryologii) można by zaznaczyć tylko ogólnikową wzmianką, ze względu na jej wyłącznie jakoby przyrodnicze znaczenie. Sądzimy jednak, że kwestya ta, jeśli pominiemy szczegóły czysto specyalnej natury, jako poruszająca najważniejsze pytania biologii, a zatem jako stanowiąca podwalinę dla współczesnej filozofii i do poglądów każdego myślącego człowieka — może zająć sobą nietylko przyrodników, ale i szersze koła inteligentnej, czytającej publiczności. Spodziewać się zatem należy, że i czytelnicy *Prawdy* nie wezmą za złe, jeśli zatrzymamy się na tych przewodnich punktach, które wytknęła lub stwierdziła embryologia, a które uwidocznione są w pracy p. Nusbauma.

Od bardzo dawnych czasów uczeni zastanawiali się nad zarodkowym rozwojem zwierząt, a Arystoteles zdołał i pod tym względem zebrać dużo, jak na owe czasy, ciekawych i znaczących szczegółów. Po nim najkompletniejszy panuje zastój w naukach przyrodniczych, i dopiero XVII w. wydaje uczonych, którzy dotąd wydzierają naturze tajemnice zarodkowego rozwoju organizmu. Ze streszczonych poglądów Fabrycyusza, Harveya, Hallera, Wolfa, Paudera (listki zarodkowe), ucznia jego Baera, Schwanna (komórki zwierzęce) i innych widać, jakiemi drogami kroczyła embryologia i jak stopniowo wywalcza sobie stanowisko nauki, nietylko niezmiernie zajmującej ze względu na liczne, do najwyższego stopnia ciekawe fakty i szczegóły, ale i nauki potężnej swą filozoficzną przewodnią ideą, sięgającą w istotę wszelkich biologicznych dociekań. Już szczęśliwszą dobę dla niej zwiastuje Baer (1828), który rozwój osobnika uważa—jako wzrastającą pod każdym względem indywidualizacyę, a rozwój wszechświata, jako pokrewne temu różnicowanie się rzeczy jednorodnych na różnorodne. On pierwszy wypowiedział myśl tak płodną w następstwa, mianowicie, że zarodek wyższego zwierzęcia, stopniowo rozwijając się, w pewnych swoich okresach podobnym jest do zarodków zwierząt niższych, a raczej, do odpowiednich stadyów rozwijających się zarodków tychże niższych zwierząt. Odtąd embryologia nabiera szerszego, rozleglejszego znaczenia. Po Baerze, Bischoff, Reichert, Vogt, Kölliker, His, a głównie genialny polak Robert Remak dzielnie posuwali tę umiejętność naprzód, a teorya Darwina i tu dokonała olbrzymiego przewrotu.

Myśl Baera o stopniowem podobieństwie rozwijającego się organizmu do coraz to doskonalszych ustrojów niższych, zapłodniona teoryą Darwina, wydaje *prawo biogenetyczne* Haeckla. To jest: takie zmiany, jakim podlegały organizmy przez wieki, przeradzając się z najprostszych w coraz to doskonalsze twory, takie samo zmiany przechodzi i jajko, przekształcając się z najprostszego zarodka w zupełnie rozwinięte zwierzę. Czyli, że rozwój jakiegokolwiek zwierzęcego osobnika jest streszczeniem zmian, jakie przebyli jego prarodzice. Koleje zatem, jakie przechodził cały gatunek w historyi swojego rozwoju, w organizacyi swej przechodzi i osobnik tego samego gatunku, poczynając od najpierwszych chwil zarodkowego swojego rozwoju. Natura więc na każdym osobniku streszcza ubiegłe miliony lat dziejów gatunku w głównych zarysach, z pominięciem szczegółów i z uwzględnieniem tej różnicy w warunkach bytu, jaka zachodzi pomiędzy swobodnem życiem przekształcających się przodków i zarodkowem osobnika. Dowodów, stwierdzających biogenetyczne prawo nagromadziło się w nauce mnóstwo, to też i owo prawo mnóstwo zagadkowych zjawisk z anatomii porównawczej tłomaczy, a na wiele bardzo rzuca całkiem nowe światło. P. Nusbaum w swej pracy przytoczył kilka ciekawych pod tym względem przykładów.

Embryologia, zawdzięczając teoryi Darwina swój szybki wzrost, sowicie wywdzięcza się jej ciągłemi doniosłemi odkryciami, które w zoologii znów czynią ogromne przewroty. Tak np. nawet najniższe kręgowce, głównie z powodu posiadania choćby w zaczątkowym stanie kręgosłupa (struny grzbietowej), stanowiły odosobnioną zupełnie grupę od zwierząt bezkręgowych. Prof. Kowalewski (1866) jednak w bardzo oddalonej i daleko niżej uorganizowanej grupie żachw (zaliczanej poprzednio do mięczaków) i nie w dojrzałem zwierzęciu, ale w jego rozwijającem się zarodku odnajduje cechy kręgowców. Tak więc odległe grupy zbliżają się bardzo na zasadzie embryologicznych danych i wymagają innego stanowiska w systematyce zoologicznej. Stąd powstało pytanie, czy nie dadzą się inne, choćby nawet i więcej oddalone grupy również zbliżyć do kręgowców i na zasadzie embryologicznych danych wylegitymować swoje z nimi pokrewieństwo?

Prace Huxley'a nad zarodkowym rozwojem jamochłonnych, Miecznikowa — owadów, Kowalewskiego — stawonogich i robaków, i wiele innych badań stopniowo stwierdzało to z góry postawione założenie, a Haeckel za pomocą swej „gastreateoryi“ stara się udowodnić genealogiczne pokrewieństwo różnych grup zwierzęcych.

Z właściwą sobie śmiałością naukowych pomysłów, wsparty embryologicznemi danemi, doszukuje się on tych form pierwotnych, z których powstał tak rozmaity dziś świat zwierzęcy. Według niego pierwotniaki (monery, ameby, wymoczki) rozwinęły się z kilku pierwotnych form, gdy tymczasem reszta stworzeń zwierzęcych ukształtowała się z woreczkowatej, o dwu ściankach ciała, z jednym otworem gębowym formy, którą nazwał *gastrea*. Takie stadyum rozwoju, które odpowiadałoby prarodzicielskiej przypuszczalnej formie *gastrea*, zostało potem wynalezione przez kilku uczonych w rozwijających się zarodkach wielu zwierzęcych grup, nie wyłączając nawet i ssących.

Na tej i na innej zasadzie Haeckel zbudował drzewo genealogiczne zwierząt; wskazał, w jakich kierunkach i w co przekształcała się pierwotna *gastrea* i w jakiem są pokrewieństwie wzajemnem dziś istniejące stworzenia.

Tak śmiała teorya musiała wywołać znaczne ożywienie dociekań embryologicznych. Badania Haeckla nad powstawaniem listków zarodkowych w jajku — tego najpierwszego objawu życia kształtującego się płodu, badania innych nad historyą pozarodkowego życia, (t. j. larw), kwestye zapłodnienia jajka, historya powstawania pojedynczych organów u oddzielnych zwierząt, sposób powstawania środkowego listka zarodkowego i stąd zależność budowy organizmu, sposoby formowania się tkanek — wszystkie te śledzenia opierające się na anatomii porównawczej, samę ją nietylko licznymi wzbogaciły faktami, nietylko pobudziły do anatomo-porównawczych dociekań, ale, co najważniejsza, wyświetliły znaczenie i naukową doniosłość tych licznych zjawisk, które dotąd były zagadką. Embryologia, sama zawdzięczając dzisiejsze stanowisko anatomii porównawczej, stała się dla niej podstawą. Dalej, w miarę tego, jak postępują zdobycze tej nauki, coraz to jaśniej wyłania się myśl wspólnego pochodzenia całej organicznej natury, a embryologia porównawcza coraz to widoczniejszymi czyni te węzły rodowego pokrewieństwa, jakimi powiązany jest ze sobą cały świat organizowany.

Darwin powołał tę embryologię z kolebki do życia młodzieńczego; z całą też werwą młodzieńczego zapału nauka ta kroczy po drodze postępu, a każdy rok niemal zaznacza się w niej doniosłą i wybitną zdobyczą.

Potrącone powyżej kwestye daleko jaśniej występują w krótkiej i popularnej pracy pana Nusbauma, napisanej wszakże żywo, przystępnie, zajmująco. Z niewielkiej pod względem rozmiarów, ale obfitej w treść broszury istotnie zapoznać się można z zadaniami i stanowiskiem dzisiejszem embryologii. *Wł. Gr.*

BADANIA DZIEJOWE.

Antoni Prochaska. **Szkice historyczne z XV wieku.** Kraków i Warszawa. Gebethner i Wolff, 1884, 8-a str. 357.

Ruch żywy, jaki w czasach ostatnich zapanował w śledzeniu naszej przeszłości, niezmiernie dużo zawdzięcza znanemu profesorowi lwowskiemu — wydawcy dziesięciu tomów akt grodzkich i ziemskich, autorowi licznych rozpraw, dotyczących dziejów XVI stulecia i wielu gruntownych krytyk. Dobrze się prof. Liske zasłużył nauce jako wydawca i pisarz, niemniej jako przewodnik seminaryum historycznego, w którem niemało okrzesał sił młodych. Z jego szkoły wyszli zmarli przedwcześnie: Lukas i Maurer, z żyjących: Balzer, Biegeleisen, Finkel, Papée, docent przy katedrze historyi powszechnej we Lwowie Semkowicz, obecny profesor krakowski Smolka i wielu innych. Uczniowie prof. Liskego zajęli już w nauce stanowiska poważne. Lukas napisał gruntowny rozbiór podługoszowej części kroniki Wapowskiego, Finkel zanalizował Kromera, Semkowicz Długosza. Żywy w sferach naukowych budzi interes rozprawa Balzera o genezie trybunału koronnego, znane są prace paleograficzne Papée'go i Maurera, a studya nad historyą literatury polskiej Biegeleisena. Odpowiednio do zdolności młodych pracowników zakres ich działalności naukowej jest różny. Stanowi to właśnie wysoką prof. Liskego, jako przewodnika seminaryum, zasługę, że rodzaj i zakres zajęć swych uczniów stosuje do ich zdolności, że każdy stopień inteligencyi umie dla nauki wyzyskać. Poprzestają więc jedni na umiejętności czytania i robienia kwerend, na układaniu itinerariów lub regestrowaniu dyplomatów, gdy inni uprawiają subtelną analizę pomników, wnikają w treść rzeczy, dochodzą do uogólnień i wniosków. Badania swoje zamykają zwykle uczniowie prof. Liskego w zakresach szczupłych, prowadzą je zaś drobiazgowo, z pedantyzmem niemieckim. Owa szczupłość zakresu badań ogranicza rozległość poglądu i z konieczności powstrzymuje autorów od rewolucyjnych w dziedzinie historyozofii zawichrzeń. Cieszą się też młodzi uczeni lwowscy opinią pewnej prawomyślności, — o ile wiemy, pod zarzutem istotnej czy wrzekomej tendencyjności nie stanął z nich żaden. Nie sądzimy jednak, żeby w pozyskanej opinii upatrywać pragnęli dla siebie chlubę...

Unikanie szerszych widoków, niezawsze usprawiedliwiona donioslością przedmiotu drobiazgowość w badaniach pozbawia prace niektórych uczniów prof. Liskego żywotności a czyni je często oschłemi. Robią one wrażenie takie, jakby autorom chodziło bardziej o erudycyę, niż o rzecz samą; więcej o wykazanie uzdolnienia technicznego do badań, niż o zgruntowanie przedmiotu. Tłomaczymy to nieumiejętnością stosowania zdobyczy seminaryum do badań samodzielnych, rygoryzmem szkoły, z pod którego początkującym wyzwolić się trudno.

Uczeń Liskego również, Prochaska, karyerę naukową rozpoczął od ogłoszenia rozprawki p. t. *Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły* (1876), poczem z obszerniejszą wystąpił rzeczą: *Polska a Czechy w czasach husyckich aż do odwołania Korybuta z Czech* (Rozpr. i sprawozd. Ak. um. t. VII i VIII, rok 1877 i 78). W rozprawie o Polsce i Czechach wykazał autor oczytanie i rozległą znajomość źródeł, lecz i jednostajność w traktowaniu przedmiotu. Zauważywszy w husytyzmie pierwiastek plemienny i religijny, pierwszemu tylko przypisuje oddziaływanie na Polskę, — zaprzecza wpływu czynników religijnych i społecznych, ruch cały w ramach sprawy dyplomatycznej stara się zawrzeć. Materyał do dalszych studyów — wydany przez Akademię umiejętności w Krakowie *Codex epistolaris Vitoldi* (1882) p. Prochaska przygotował nakładem własnej pracy i czasu. Kodeks listów Witolda zamknął go w zakresie stosunków z XIV i pierwszej połowy wieku XV, — w zakresie co do czasu szczupłym, lecz pełnym zdarzeń doniosłych. Unia Litwy z Koroną, stosunek państw zjednoczonych do sąsiednich krzyżaków i ruch husycki stanowią tych czasów treść główną. P. Prochaska podczas mozolnych poszukiwań po archiwach zagranicznych i swojskich zżył się z materyałem, dotyczącym stosunków dyplomatycznych Polski, głównie też tę stronę dziejów w pracach swoich uwzględnia. Rezultat badań stanowi „studyum z dziejów intrygi dyplomatycznej" p. t. *Ostatnie lata Witolda* (1882) i ogłoszony obecnie tom *Szkiców*, zawierający artykuły: 1) Konrad Wallenrod w poezyi i dziejach, 2) Przed Grunwaldem, 3) Zawisza Czarny, 4) Husyta Polski, 5) Trefniś Henne u Witolda, 6) Zabiegi Ciołka o infułę.

Opowiadania o Konradzie Wallenrodzie, Zawiszy i goszczącym na dworze Witolda krzyżackim trefnisiu dostępne są dla szerszego koła czytelników; zająć może i zawadyaka husycki Mikołaj Kornicz Siestrzeniec; lecz rozprawy o zatargu pomiędzy Zakonem a Litwą o Żmudź i o intrygach Ciołka z natury przedmiotu i wykładu rzeczy lekturę stanowią cięższą. Od czasów Szajnochy przywykliśmy w tak zwanych szkicach historycznych szukać artyzmu, który w pracach p. Prochaski przedstawia się skromnie. Przy gruntownej znajomości przedmiotu ma autor wykład rozwlekły i ciężki, zamało używa kunsztu w konstrukcyi. Udatniejsze są rzeczy krótsze, lecz w obszerniejszych i skomplikowanych pod względem treści, z powodu drobiazgowości, a niedostatecznego uwydatnienia myśli przewodniej, ginie często główna rzeczy osnowa. Ma autor zwyczaj przypominania czytelnikowi, o co mu chodzi; nie wynagradza to przecież braku tej precyzyi w wykładzie, która podtrzymuje uwagę i budzi interes. Na większem skoncentrowaniu treści i mocniejszem uwydatnieniu myśli przewodniej zyskałaby poczytność szacownych pod względem materyału źródłowego rozpraw sumiennego dziejów naszych badacza.

Sm.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Dr. H. Biegeleisen. **J. Słowacki**, wydanie pierwsze z pośmiertnych rękopisów poprzedzone wstępem i objaśnieniami. Warszawa.

Ciekawy to ze wszech miar i obfity nadzwyczaj przyczynek do poznania i skreślenia ośmiu ostatnich lat życia poety, który niejednym listkiem wawrzynu pomnożył sławę poetycką Polski z pierwszej połowy XIX stulecia. Zapomniane niemal rękopisy znowu wydobył niestrudzony na tem polu dr. Biegeleisen.

Towarzyski, wesoły, chętnie oddający się kobietom poeta pod koniec października 1841 r. przetwarza się zwolna, lecz gruntownie. Dawny melancholik, zgryźliwy, byronista znika gdzieś bezpowrotnie; miejsce zaś jego zajmuje człowiek marzący o Bogu, nieziemskiem życiu, miłości nieskończonej bliźniego itp. rzeczach. Myśli oczywiście wylały się w listach do matki, która, przerażona niezwykłym stanem syna, błagała o rozwagę. Odpowiedzią było faktyczne wstąpienie do Koła Towiańczyków i uczestnictwo w działaniach tej firmy — np. podpisanie manifestu w sprawie wydalenia Towiańskiego z Paryża, przeciw Świątopełkowi Piastowi Mirskiemu itp. Udział ten jednak ze strony zewnętrznej był mniej wydatny, wpływ zaś wewnętrzny olbrzymi. Tu znowu listy dostarczają dowodów. Pozostało jednak Słowackiemu tyle jeszcze trzeźwości, że po tak zwanej „sprawie rosyjskiej" zdołał zerwać stosunki z Kołem, nie przestał jednak w duchu popierać teoryj Towiańskiego. Nieustannie gnębi ciało, usuwa się od spraw codziennych, skupia ducha, podnosi go, wmawiając w siebie zupełne zerwanie ze światem. To jednak nie przeszkadza mu zupełnie zaprowadzać pewnej oszczędności w wydatkach, spekulować papierami, wogóle przywiązywać się do — pieniędzy. Nie zbywało wszakże Słowackiemu na chęci apostołowania. Ale prócz garstki, do której należał także Szczęsny Feliński, nie wielu znalazło się zwolenników słuchania majaczeń.

Genezis z Ducha, List do J. N. Rembowskiego, *Wykład nauki, Dziennik z r. 1847—1849* — oto wiązanka utworów, objętych obecnym tomem, liczącym str. 275, a zawierającym w sobie wyobrażenia poety o świecie, stosunku jego do ludzkości i inne rozmaite pojęcia o Bogu, naukach itp. Niewyczerpany to materyał dla badaczów towianizmu. Słowacki uległ mu zupełnie, ślepo szedł dalej nawet może, niżeli mistrz sam, snując pojęcia, które dla nas wydają się poprostu niedorzecznemi. Oto np.: „albowiem na tych słowach, iż wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nie dla cielesnego celu nie istnieje... staje ugruntowana przyszła wiedza święta Narodu mojego... a w jedności wiedzy posunie się jedność uczucia... i widzenie ofiar, które do ostatecznych celów, przez ducha Świętej ojczyzny prowadzą," (?) lub: „wszystkiego żądajmy w imię wiary widzącej od nowych i nieśmiertelnych" (63), lub też: „dowody, że nauka dzisiejsza niezdolna jest do żadnej syntezy, o Duchu nie wiedząc" (84 itd.), które zastanawiają naiwną wiedzą poety z zakresu nauk przyrodniczych. Ciekawym jest pod względem treści dzienniczek, zapisany najróżnorodniejszemi wiadomościami z życia Słow. i wypadków potocznych.

Przyzwyczajeni do wydawnictw pobieżnych, partackich, nie zawsze sumiennie prowadzonych, z przyjemnością zaznaczamy w tym zbiorze umiejętne zużytkowanie materyału. Każda z części opatrzona wstępem, objaśniającym o wartości utworu, czasie, w którym został skreślony itp. Same zaś utwory wydane krytycznie, opracowane sumiennie, opatrzone wielką ilością uwag i waryantów, stanowić mogą wzór do naśladowania.

Zauważyliśmy jednak w przedmowach pewne sprzeczności, których można by było uniknąć.

Na str. np. XXXVII czytamy: „Żyjąc w ciągłej kontemplacyi ducha, stracił Słowacki trzeźwy pogląd na najprostsze rzeczy, na codzienne zwykłe pewniki;" na str. XLIV: „Widać z tej całej sprawy dobre serce poety, ale nie mniej jego praktyczny zmysł;" a na str. XLIX: „jak zatopiony w spirytycznych spekulacyach poeta stracił do reszty trzeźwy sąd i praktyczny zmysł." Cóż więc ma być prawdziwem?

Na str. 4 czas napisania *Genezis z Ducha* przypada, zdaniem wydawcy, na lata między 1843 — 48, list zaś do Rembowskiego między 1846 — 47 (str. 42). Na str. zaś 43 czytamy: „Janie Nepomucenie! Najcichszy z ludzi i Najsprawiedliwszy... posyłam ci *Genezis z Ducha*." A więc oczywiście *Genezis z Ducha* została napisana przed 1846—7.

Z. L.

MARYA MALCZEWSKIEGO... POPRAWIONA.

A. Malczewskiego **Marya**—wstępem, żywotem poety i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak, c. k. profesor gimnazyalny w Stanisławowie i członek komisyi językowej Akad. umiej. w Krakowie. Tekst przejrzany, krytycznie porównany i *według potrzeby* (!) poprawiony. Lwów, nakładem wydawcy, 1884. Tom I Arcydzieł poetów polskich z objaśnieniami, str. 135 i 2 w 8-ce małej.

Wypisałem umyślnie w całości ten przydłuższy tytuł niepokaźnej zresztą książeczki, aby wykazać, że p. Parylak, *c. k.* profesor uczy młodzież swym przykładem nieprawdy, bo zapowiada na karcie tytułowej rzeczy, których nigdy nie dotrzymuje. Do tych obiecanek należy przedewszystkiem sam „tekst *przejrzany* (przyznam się, że nie rozumiem, co ten wyraz tutaj oznacza) i krytycznie porównany." Krytyka jego polega na tem, że „korzystał *aż* z 5 rozmaitych wydań!" A w jaki sposób? Oto podał *na kilku* miejscach niby poprawki późniejszych wydawców, niemające żadnej podstawy. Tak np. zmienili ci wydawcy „widokres," wyraz dziś już nieużywany, na „widnokrąg" albo „wodostok" (woda i stacząć) na bezmyślne „wodoskok;" „śklnić się"—jako niegładkie wyrażenie—na „lśnić się" itp. P. Parylak nie omieszkał podać tych zmian—tych jedynie—jako ważne waryanty. Sam tekst zaś traktuje, jak wszyscy niemal, po macoszemu. Zmienia *dowolnie* niektóre wyrazy: „różnofarbny" na „różnobarwny" (str. 84), „chciwa walek" na „chciwa walki" (93), „miał" na „śmiał" (93), „strząsa" na „wstrząsa" (tamże), „bujno" na „bujnie," „uchylił czapki" na „uchylił czapkę" (30), „nuży" na „nurzy" (29), „dochodził" na „dochodzi" (124) itd. itd. Przerabia też samowolnie szyk poety; np. zamiast: „Ludzie dobrzy *czy pogrzeb, czy to chrzciny* spieszą" drukuje: „Ludzie dobrzy *czy chrzciny, czy to pogrzeb* spieszą (122); albo zamiast: „*Nikomu nie zwierzyły* wypłowiałe wargi" podaje: *Nie zwierzyły nikomu* wypłowiałe wargi" (123). Członek komisyi językowej Akademii umiejętności nie zna nawet dawnych form językowych, modernizując je niepotrzebnie; np.: „truna" na „trumna" (122), „łzów" na „łez" (123), „wśród" na „śród" (82), „twoją," „samą" na „twoję," „samę" (59), „potym" na „potem" (93 i 94), „nicht" na „nikt" (93), „spieg" na „szpieg" (94), „żrzódło" na „źródło" (58), "żrzenica" na „źrenica" (92) itp. Przeraba też właściwe wyrażenia poety: „taż sama" na „ta sama" (124), „gdzież" na „gdzie," „pierszyna" na „pierwszyna" „*na* drodze" na „*po* drodze." „Ah," „Oh" systematycznie na „Ach," „Och" (58, 82, 87, 123), „*w* trosce" na „trosce" (97) itp. Nie chcę nużyć czytelnika gromadzeniem oderwanych słów; podane przykłady wystarczą dla znawców, zadadzą też kłam wielkiemu pedagogowi z *Dziennika polskiego*, chcącemu wmówić w nas, że „tekst Parylaka wydany *bardzo starannie.*"

Poznaliśmy „przejrzany i krytycznie porównany tekst," a teraz przypatrzmy się, jak on wygląda, „według potrzeby poprawiony." Poprawki odnoszą się—o ile autor sam się przyznaje—do jednego miejsca, a i to sprostowanie jest nieszczęśliwe. W pierwszem wydaniu *Maryi* czytamy: „Ni *ją* ubiór udatny, ni *ją* strojną kwiaty." P. Parylak ośmielił się sprostować ten wiersz, ze względu na myśl zapreczoną, w ten sposób: „Ni *jej* ubiór udatny, ni *jej* strojną kwiaty." Bardzo pięknie i gramatycznie — takby p. Parylak napisał, gdyby stworzył drugą, poprawną *Maryę*; ale „krytycznemu" wydawcy nie wolno zacierać właściwości językowych autora. Malczewski, romantyk czystej wody, nie dbający o poprawność języka, używa *bardzo* często 4-go przypadku tam, gdzie my kładziemy 2-gi; np.: „Giętką kibić nie ciśnie" (II, XVII), „Nie zbiera plony" (II. 5), „co złego się nie dowie" (I, 3) itp. Tak więc i tutaj użył składni: Ani *ją* ubiór udatny, ani *ją* strojną kwiaty. Ale zapomnijmy o krytycznem wydaniu tekstu i przypatrzmy się objaśnieniom — t. j. głównemu zadaniu autora. „Wita je — krakowski profesor literatury polskiej, wielki krytyk i estetyk — z *wielką* radością i pragnie *gorąco* więcej podobnych," bo „to rzecz *bardzo dobra*, potrzebna, pożyteczna" (patrz ostatni zeszyt *Przeglądu polskiego*), wita je i p. Pr. Fr. z otwartemi ramionami, „przekonany, że wydanie takie pożytek przyniesie oświacie *narodowej*..." Zacznijmy od znajomości literatury polskiej p. Parylaka. Przedewszystkiem nie zna on *Maryi*, wydanej przez Chmielowskiego, najlepszej, jaką posiadamy, gdzie rozgatunkowano na klasy, czyli typy wszystkie edycye, podano waryanty i bibliografię, słowem zrobiono pierwszy krytyczny krok w literaturze *Maryi*. Tymczasem p. Parylak, który szczyci się z tego, że „podaje wyniki *badań najnowszych*," twierdzi naiwnie, „że *pierwszy ośmielił się* (!) podać utwór rzeczony w szacie odmiennej od wydań dotychczasowych." Ale po co się troszczyć o to, co piszą gazeciarze warszawscy, każdy przeciętny galicyanin—nie wyjmując profesorów uniwersytetu—jest przekonany, że w Warszawie piszą „płytkie rzeczy" i gdyby nie kontyngens uczonych galicyjskich, cała nauka poszłaby „na huby..." To też p. Parylak nie wie *nic* z tego, co pisano w Warszawie o *Maryi*, zacząwszy od Dmochowskiego (1825) a skończywszy na Chmielowskim (1883), on, profesor „opiera się na *powadze* Ant. Małeckiego" i na „piśmie Towarzystwa pedagogicznego *Szkoła*." Zdziwisz się zapewne niepomiernie czytelniku, skąd takie zestawienie powag. Otóż wytłomaczę ci tę zagadkę. *Szkoła* wynosi Parylaka pod niebiosa, więc Parylak z winnej wdzięczności wynosi *Szkołę* na niebotyczne wyżyny powagi Małeckiego. Zagadka rozjaśni się jeszcze bardziej, kiedy przypomnimy sobie, jak wiele zależy autorowi na *Szkole*, na Towarzystwie pedagogicznem i tym podobnych władzach szkolnych, od których zawisło, czy książka będzie zaprowadzoną w zakładach wychowawczych, czy nie....

W odtworzeniu tła historycznego poematu idzie p. Parylak na ślepo za „Starościną bełzką" Kraszewskiego. przyjmując wszystko na wiarę powieściopisarza, przyczem okazuje czasem mimowoli nieznajomość historyi polskiej — np. w podpisie listu J. Komorowskiego, kasztelana (ma być) *santockiego*. Sprzeczności, jakie zachodzą w relacyach świadków, omija delikatnie; np.: „tak mówi dekret—inaczej opisują to pamiętniki," albo: „tu dalsze opisy współczesnych różnią się od siebie znacznie..." Z biografii Malczeskiego dowiadujemy się, że był żonaty, choć cały świat wie, że autor *Maryi* był bezżenny, że się zapoznał z Byronem, którego na oczy nie widział, (krążące o ich stosunku bajki nie mają podstawy) itd. P. Parylak, stojąc na stanowisku romantycznem, gardzi „szkiełkiem mędrca" a uważa za jedynie uprawnioną „intuicyę poety, która odczuć i odgadnąć potrafi tajniki świata duchowego," bo ona jedynie „może być nicią Aryadny w tym labiryncie" (25). Wiarę swą w cuda i proroctwa wypowiada wprost w tych słowach: „ludzie czasem w pewnych chwilach przewidują przyszłe i odległe zdarzenia, jak o tem świadczą przykłady z dawnych i nowożytnych dziejów. Zastosować tu można najwłaściwiej słowa Szekspira: „Są rzeczy na ziemi i w niebie, o których nam się ani marzy w naszej filozofii."

Objaśnienia p. Parylaka są zbyt często niezręczne lub zbyteczne, ażebyśmy tu wszystkie wskazywać mogli.

Z.

LIBERUM VETO.

Rozmowa napoleończyka z człowiekiem przyszłości.—Fizyologia żołądka. — Nowe towary pod starymi szyldami.—Trzy grupy.—Ofiara p. Hantkiego. — Wartość spełnionego obowiązku.—Praca przez 54 godziny z rzędu.—Wesoła zabawa.—Taniec śmierci. — *Szkice estetyczne.*—Prawdy p Massoniusa.—Rozpaczliwy wykrzyk czytelnika.

Tego chyba nikt nie zaprzeczy, że mimo pozornej nieruchomości świat zmienia się przed oczami bardzo szybko. Doprawdy nie dziwiłbym się wcale, gdyby człowiek najbliższej przyszłości prowadził kiedyś z jakimś napoleończykiem naszych czasów (napoleończyków i b. oficerów b. wojsk polskich wystarczy nam jeszcze na lat 100) następującą rozmowę:

Napoleończyk. Czy pan jesteś legitymistą, czy republikaninem, konserwatystą, czy liberałem, idealistą, czy materyalistą?

Człowiek przyszłości. Nie rozumiem, o co właściwie panu dobrodziejowi chodzi, gdyż w filologii nie jestem twardy. Urodziłem się pod Kozienicami...

Napoleończyk. Nie o to pytam, lecz jakie pan ma zasady polityczne i naukowe?

Człowiek przyszłości. Widzi pan dobrodziej, historyą zajmowałem się tylko dorywczo.

Napoleończyk przerwie może rozmowę z tem przekonaniem, że ma przed sobą prostaka; tymczasem ów człowiek przyszłości będzie bardzo biegłym w kwestyach: pracy, kapitału, podatków pośrednich i bezpośrednich, renty i zarobku; tylko wszystko po za granicami gospodarstwa społecznego stanie się dlań tak niezrozumiałem, jak np. dla obywatela teraźniejszości niezrozumiałe są teorye kosmogoniczne jońezyków lub igrzyska rzymian. Już dziś zastój w handlu zbożowym więcej zajmuje ludzi, niż przemiana gatunków lub materyj nieorganicznych na organiczne; już dziś stronnictwa, wywieszając stare szyldy, sprzedają pod nimi inne towary. Maluczko, a nazwy: liberał, konserwatysta, legitymista, idealista itp. —utrzymają się tylko w wyższych sferach polityki i wiedzy, ogół złoży je do magazynów archeologii, a do kalendarza zapisze inne imiona patronów. Wszystkie bowiem wielkie sprawy życia ludzkiego ustąpiły miejsca społecznym, a królową nauk z wyboru większości została ekonomia. Gdzieś tam po kątach, pracowniach i uniwersytetach, w nieczytanych książkach lub zapomnianych towarzystwach myśl człowiecza bada, jak dawniej: bakterye, planety, ruchy eteru, lub stare zabytki, ale ogół rozprawia o cenach chleba i mięsa, o warunkach produkcyi, o udziale pracy w jej zarobkach, o własności itd. Dawniej uprawiano fizyologię serca, mózgu, nerwów, płuc, teraz przyszła kolej na społeczną fizyologię żołądka.

Czy to komu się podoba, czy niepodoba—rozwój stosunków i pojęć nie pyta. Tak jest! Musimy więc myśleć o inspekcyach fabrycznych, o pracy dzieci i kobiet, o bezrobociach i różnych zjawiskach ekonomicznych więcej, niż o przyrodniczych i estetycznych, nadewszystko zaś musimy w tych sprawach zajmować takie lub inne stanowisko. Jak wspomniałem, dziś już nie wystarczają stare nazwy z dawnem znaczeniem, gdyż właściwie pod względem ekonomicznym należałoby liberalnymi nazwać te żywioły, które skądinąd zaliczają się do konserwatywnych. Gdybym koniecznie pod tym względem potrzebował rozdzielić każde społeczeństwo na stronnictwa, utworzyłbym takie grupy: niepoprawnych, nieprzejednanych i przejednanych. Pierwsi powiadają:

— Za nic w świecie! Jeżeli mi wyrośnie dziesięcioro ust, będę wszystkiemi jadł, a nikomu nie dam.

Drudzy krzyczą:

— Śmierć żarłokom!

Trzecia kategorya wreszcie rozumuje:

— Obie strony mają po trosze racyi, ale największą głodni. Trzeba więc im dać jeść.

Do tej ostatniej grupy należy p. Hantkie, przemysłowiec warszawski, który dla robotników bez zajęcia daje bezpłatne obiady. Kiedy inny filantrop, p. Szlenkier, darował robotnikom kilkadziesiąt tysięcy rs., uczciwszy tę zacną ofiarę, zauważyłem, że była ona aktem wdzięczności i odpłaty, za co usłyszałem kilka napomnień w stylu warszawskim. Nie nauczyły mnie one lepszego rozumu, bo go nie miały; więc pozostaję przy swoim i w ocenie szlachetności p. Hantkiego. Rzecz dziwna, w kraju, w którym sławieni są, jako ideały, ziemianie prowadzący gospodarstwo „z kredką," w którym czczone są publicznie jubileusze kucharek, gotujących w jednem miejscu po lat kilkadziesiąt, w tym kraju jest nieprzyzwoitością nazywać jałmużnę tylko spełnieniem moralnego obowiązku. Przecież chyba żaden fabrykant nie zaprzeczy, że co najmniej w pewnym stopniu dochody swoje zawdzięcza robotnikom, a jeśli tak się dzieje, to już powinność ogrodnika pamiętania o drzewach, które mu rodzą owoce, można wywnioskować beznakręcania logiki. P. Hantkie postąpił uczciwie, chwalebnie, wzorowo, ale niech nikt nie dowodzi, że wszystkie obowiązki ludzkie określone są w kodeksie cywilnym i kryminalnym, po za którym nie ma żadnych reguł moralnych, żadnych „kategorycznych imperatywów." Większą wartość przedstawia rozsądny altruizm, niż waryackie poświęcenie. Jeżeli człowiek otrzyma świadectwo, że robił to, co powinien, o wyższe zaszczyty moralne może nie dbać.

Dość zwykłym odłamem grupy niepoprawnych, o której wspomniałem, są rycerze, usiłujący gwałtem złamać koło Fortuny. *Kuryer* opowiada, że podczas gdy p. Hantkie rozdawał obiady robotnikom, jakiś komplecik grał przez 54 godziny z rzędu, zapewne na ten sam cel. I jak tu nie ma być Kusocińskich, lub też synów, którzy pozbawieni opieki ojcowskiej od 10 roku życia kształcą się w „piramidkach," lub córek, które o zmierzchu wybiegają na ulicę, ażeby je ktoś zaczepił. Kto? Posłuchajmy znowu *Kuryer warsz.*: „W dniu onegdajszym grono młodzieży wyprawiało zbiorową ucztę w jednej z drugorzędnych restauracyj. Że biesiada odznaczała się niemałą werwą, dowodzi rubryka w rachunku, wymieniająca „rs. 200 za stłuczone zwierciadła i szkło stołowe." Wesołe grono, pragnąc zaafiszować swoją zamożność, ściągnęło ze stołu obrus z całkowitem nakryciem, do zwierciadeł zaś rzucano szampankami, jak do zwyczajnego celu. Młodzież opuściła zakład z przekonaniem, że dokonała bohaterskich czynów..." I ktoby, patrząc na tych zuchów, domyślił się, że u nas bankrutują ziemianie, kupcy, przemysłowcy, że ruch w handlu osłabł, że bieda coraz szerzej rozpościera swe panowanie? Z drugiej strony tego rodzaju fakty zna psychologia i historya. W XVIII wieku nasze damy tańczyły aż do nieprzytomności, ubrane, a raczej rozebrane aż do bezwstydu, z pierścionkami na palcach u nóg; podczas cholery zdarzały się wybuchy najszaleńszego rozpasania. W chwilach ciężkich, rozpaczy lub niedoli, występują nieraz obłędy, marnotrawstwa, pijane uciechy; może więc i owo „grono młodzieży," rozbijającej lustra szampankami, odprawiało „taniec śmierci."

Co do tych — miałby zupełną racyę p. Massonius, autor świeżo wydanych *Szkiców estetycznych*, gdyby powiedział, że ich żadna powieść tendencyjna nie poprawiłaby. A byłaby to jedyna racya p. Massoniusa. Na nieszczęście nie wypowiedział tego, natomiast przygotował dla ustawodawstwa estetycznego następujące prawa: „Literatura tendencyjna powinna się nazywać literaturą lokai (*sic*) i kucharek, którym zresztą także najmniejszego nie przyniesie pożytku (więc po co ma być dla nich przeznaczona?).

„Literatura ta nie należy do sztuk pięknych (np. *Nędznicy, Korynna, Dziady?*)."

„Jest ona *nie wiadomo czem*."

„Prawdziwej idei dzieła sztuki nikt nie weźmie za jego tendencyę, choćby dlatego, że tej idei nikt nie dostrzeże."

„Człowiek nie może wydać żadnych form, któreby nie istniały w przeszłości, teraźniejszości lub przyszłości w świecie (to jasne—bo gdy je stworzy, to istnieją)."

„Jakie idee leżą w głębi form rzeczywistych? *Najcharakterystyczniejszą* ich własnością jest to, że ich *żadnemi słowami prozy* ściśle określić, ani wypowiedzieć nie podobna (autor wierszy nie pisuje, więc od tego obowiązku jest wolnym)."

„Ani *Komedya boska*, ani *Don Kiszot*, ani *Faust* nie są utworami tendencyjnymi."

„Dante nie ukarał zbrodniarzy historycznych, bo ich ukarał Pan Bóg—bez jego pomocy; nie powiększył niczyjego obrzydzenia do nich, bo już Pismo święte i historya dostatecznie malują całą ich złość i szpetotę."

„W każdym człowieku jest Faust; im człowiek jest większym, tem bliżej stoi *do* Fausta."

„Logika dyktuje, że nie ma innej drogi do wielkości, tylko wyrzeczenie się wszystkiego, co ziemskie i doczesne." *Satis?*

Już miałem w rękach wiele książek, których bym bez wyrzutu sumienia nie dał „lokajom i kucharkom;" ale takiego bukietu bezsensów jeszcze chyba nie oglądałem. P. Massonius nawet w ubogiej naukowo literaturze naszej jest unikatem. Po zamknięciu jego książki, silnie akcentowanej pretensyą do reformatorstwa, czujesz wydzierający ci się z piersi rozpaczliwy krzyk: człowieku, oddaj mi czas, który zmarnowałem na czytanie twojej okropnej roboty! Gdybym wiedział, co w niej znajdę, doprawdy wolałbym już chyba... stłuc jakie zwierciadło.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Rzeczy łakomstwo budzące. — Przyszły Stieglitz poszukujący metrykl. — Przyszły książe poszukujący flaszki. — Obwałowanie Wisły. — Temida surowa i łagodna. — Maszyna uwalniająca od wojska. — Złodziej w Banku.

Pani Połowcowa — 40 milionów rs.; księżna Obolońska — 2½ mil.; hr. Bobryńska — tyleż; pani Pistolkors 7 mil. itd. „Podczas czytania testamentu słychać było ciągle: milion, trzysta tysięcy, dwieście tysięcy..." Czyż wobec takich zapisów nie nędznym jest uśmiech Fortuny w 5 klasie loteryi klasycznej lub nawet w ciągnieniu premiowek? Nie dziwię się też, że żaden artykuł nie był tak chętnie powtarzany przez nasze pisma i czytany przez naszą publiczność, jak opis legatów zmarłego w Petersburgu bogacza Stieglitza. Ile on wzbudził zachwytów, ile tęsknych westchnień! Gdyby tak mnie — bodaj dziesiątą część — dopiero bym stawiał czoło... przesileniu rolnemu... lichwiarzom... brakowi taniego kredytu! Ale i my możemy mieć swoich Stieglitzów, jeżeli ów mularz z Lubartowa, Władysław Rozwadowski, który stał się bohaterem chwili, dostanie 20 milionów funt. szt. po stryjaszku czy wujaszku w Ameryce. Szuka on biedak metryki krewniaka i znaleźć jej nie może, jak Halka swego uwodziciela, a dzienniki argusowem okiem spoglądają na niego, trzymając w pogotowiu telegraf dla doniesienia nam o wielkim wypadku. Nuż zabrzmi: znalazł! Serca przygotujcie się do gwałtownych wzruszeń!

Niegdyś — francuzi, dziś—loterya, premiówka, spadek, ruda lub skarb ukryty są owemi potęgami, do których w duszy modlą się wszelkie ofiary „stagnacyi" i „trudnych warunków." Na nieszczęście loterya rozrzuca swe łaski kapryśnie, wygrane premiówki skaczą po bezmiernych przestworach państwa, spadki i rudy zawodzą, więc ludziska coraz częściej zaczynają myśleć o wykopywaniu ukrytych „przed wiekami skarbów." Rozumni bowiem przodkowie nasi przewidzieli, że kiedyś wybije dla ich potomków „czarna godzina," na którą pochowali garnki, skrzynie, puszki—pełne złota i srebra. Ale czemu chowali tak starannie, że pomimo długoletniego kopania skarbów tych znaleźć niepodobna? To ważne dziejowo-ekonomiczne pytanie zadaje sobie — jak donosi *Gaz. warsz.* — właściciel Wiśniowej. W aktach kościoła parafialnego znaleziono podpisany przez ks. Wiśniowieckich dokument, szepczący dość świeżym językiem dziwną tajemnicę: „W rogu zachowana jest flaszka, w której na pergaminie wymieniono miejscowość, gdzie książęta, udający się na wojnę krzyżową, zakopali wielkie skarby." Ma tego być aż... 9 skrzyń! Następcy Wiśniowieckich, Tarłowie, Kołłątajowie, do których należała Wiśniowa, nieustannie poszukiwali tej flaszki, „burząc już to narożniki okazałego pałacu, już wspaniałego ogrodu i innych zabudowań ważniejszych" — ale cała ta praca okazała się daremną. Wreszcie obecny właściciel Wiśniowej wpadł na myśl, że owe skarby mogą być ukryte pod... czterema wspaniałemi lipami ogrodu. Padły narożniki pałacu, czemuż nie miałyby paść lipy!

Czy w tym małym obrazku nie streszcza się cała historya, cały program życia niektórych warstw naszego społeczeństwa? Owoce pracy wiszą dla nich za wysoko i mają smak zbyt cierpki; daleko więc lepiej siąść na huśtawkę losu i bądź podnosić się w górę zapomocą odkopanych skarbów, bądź spadać na dół przez niedbalstwo. Może obecny właściciel Wiśniowej niezasłużenie ubrany został publicznie w legendę i nie myśli o poszukiwaniu tajemniczej flaszki, tem nie mniej owa wiadomość posiada wszystkie cechy realizmu. *Si non e vero, e ben trovato.* Tacy my rzeczywiście jesteśmy! Zawsze opieramy życie swoje o sen, o marzenie, o niespodziankę, o nagłą zmianę losu, o coś, co leży po za zwykłą koleją rzeczy i co przyskoczy nam na pomoc, jak *Deus ex machina*. To też ażebyśmy byli szczęśliwi, zadowoleni i niezmylni w rachubach, potrzeba jednego warunku: żeby natura i stosunki ludzkie nie miały stałej prawidłowości, potrzeba nam znaleść pewną flaszkę lub pewną metrykę...

Gdy tego wymaga ciemny chłop, ma na swoje usprawiedliwienie przynajmniej to, że ograniczony i rozumować nie umie. Ach, jak nie umie! „W r. 1875 — donosi *Gaz. radom.*—właściciele majątków w gminie Oblassy, pow. kozienickim położonych, chcąc obwałować około 70 włók niziny wiślanej i pobudować odpowiednią szluzę dla zabezpieczenia się od wylewów Wisły, wystąpili do rządu gubernialnego radomskiego z podaniem o wyjednanie odpowiedniej pożyczki rządowej. Przychylna decyzya mogła była nastąpić, gdyby nie stanowcza odmowa włościan, mających swe grunta w powiślu i mieszczan osady Janowiec, którzy na zaciągnięcie pożyczki zgodzić się nie chcieli. Do chwili ostatniego wylewu utrzymywał się wał nie na całej wprawdzie przestrzeni, o której mowa, i niezbyt wysoki, zawsze jednak zabezpieczający od małych wylewów; podczas ostatniej powodzi przerwany został w 13 miejscach. Widząc ruinę swoją właściciele wsi Janowiec i Brześć, którym ona zrobiła szkody na 15,000 rs., wnieśli podanie do władzy powiatowej o pomoc szarwakową dla naprawienia wału; dotychczas nie mają żadnej rezolucyi.

Siemdziesiąt włók powiśla można zabezpieczyć na zawsze od wylewu kosztem 20,000 rs., gdy zaś włóka powiślańskiej ziemi dać może urodzaju na sumę 1,500 rs., a niechby nawet połowę tego, to rachując tylko od jednorazowego wylewu oszczędzamy corocznie dla bogactwa kraju przeszło 50,000 rs., co więcej, chronimy od wywłaszczenia mniej zamożnych gospodarzy. Na uregulowanie Wisły potrzebne są miliony, których niema, więc nic nie robimy, a nie chcemy poświęcić tysięcy, które mogłyby się znaleźć i częściowej regulacyi dokonać, — nie mogąc bronić wszystkich odrazu, dajemy im ginąć pojedynczo!

Jeżeli u nas czemukolwiek w podobnych wypadkach dziwić się można, to tylko temu, że zabieramy się do ratunku, nie mając noża na gardle.

Gdybyśmy składali wszystkich złodziejów nad brzegami Wisły, byłaby ona już zupełnie i oddawna obwarowaną. Ponieważ ci panowie położenia uwijają się zbyt gęsto, ażeby można było szczegółowo wyliczać ich tryumfy, więc i dziś nie opisuję ani dziejów bandy w lasach hrubieszowskich, ani zręczności przeróżnych koniokradów, rzezimieszków, rabusiów i zbójców. Jest to już stara historya, dla której miejsce jeszcze znaleźć się może tylko w pismach codziennych.

Jak wspomnieliśmy, zewsząd odzywa się wołanie o większą surowość sądów. Mińsk gub. jak gdyby usłyszał te modły, bo jego Temida wyostrzyła sobie miecz bez litości. Za to Słonim łagodzi jej surowość. Niedawno przed sądem przysięgłych stawał tam niejaki Chaim Burda, oskarżony o to, że ubezpieczywszy zboże w starej karczmie, uprzątnął je i ruderę podpalił. „Kiedy nadeszła sesya — opowiada *Wiek* — żydzi rozwinęli agitacyę, nalegając prośbami i pogróżkami na przysięgłych, aby uniewinnili oskarżonego. Rabin, wezwany do odebrania rytualnej przysięgi od świadków, zachęcał ich, aby zeznawali na korzyść podsądnego. Dom, w którym mieści się sąd słonimski, otoczony został przez żydów; przed oknami pokoju, gdzie zasiadają przysięgli, postawiono wartę. Świadkowie przy badaniu dali zeznania zupełnie sprzeczne z pierwiastkowemi, oprócz jednego, który oświadczył, że mimo gróźb i przekupstwa obstaje przy pierwotnem, „nie chcąc gubić duszy."

Przysięgli udali się na naradę i po chwili wyrzekli: „niewinny." Wtedy w sali sądowej rozległy się brawa i oklaski, którym wtórowały tłumy stojących na ulicy." Gorzej powiodło się b. naczelnikowi powiatu Szelkingowi, którego skargę kasacyjną Senat oddalił. Z tego powodu *Dziennik warsz.* zastanawiając się nad częstymi wypadkami przekupstwa w komisyach poborowych, powiada: „Ażeby uwolnić kogoś od wojska, niedość być człowiekiem niemoralnym, wziąść łapówkę. Dla osiągnięcia pożądanego rezultatu potrzeba jeszcze spełnić cały szereg różnorodnych nieuczciwych i niegodnych czynów. Trzeba naprzód wejść w stosunki z rozmaitą kanalią, z t. z. faktorami, naradzać się z nimi co do szczegółów zamierzonej roboty, bratać się i wpaść w pewnego rodzaju zależność od nich. Komisya poborowa stanowi kolegium, niezbędnym więc jest współudział jej członków najbardziej wpływowych, towarzyszów lub podwładnych. Należy zbadać wszystkie te osoby, wybrać z nich najpodatniejsze, wyzyskać ich słabości i położenie, zwrócić z prawej drogi i wciągnąć do przestępstwa, przygotować konieczną większość głosów... maskując tę robotę ze strony formalnej. Dla tej zaś formalnej strony trzeba albo mieć za sobą lekarza, rewidującego popisowych, albo „przygotować" dowody, a więc rozszerzyć zgniliznę i na jednostki, niewchodzące w skład komisyj powiatowych, mianowicie na burmistrzów, wójtów gmin, wreszcie na urzędników prowadzących księgi stanu cywilnego." *Dniewnik* przyrzeka, że kiedyś odsłoni szczegółowiej maszyneryę płatnego uwalniania od wojska, tymczasem zaś twierdzi, że głównymi jej twórcami są żydzi.

Jeżeli nie złodziejem otwieramy kronikę naszego życia, to złodziejem musimy ją zamykać. Szukam na widnokręgu zjawisk dodatnich, szukam plonów zdrowych lub nasion, szukam ludzi energicznych, a widzę znowu jakiegoś Michała Karczewskiego, urzędnika filii łódzkiej Banku polskiego, który nafałszował przekazów, nakradł pieniędzy, nahulał się w Warszawie i został wreszcie schwytany. Kiedyż się ta cholera nasza skończy, a przynajmniej kiedy osłabnie.

A. C.

Piotrków. Obywatele tutejsi, po naradzie nad odezwą Płocka, przyszli do następujących wniosków: Złączenie się w Towarzystwo Kredytowe wszystkich miast Królestwa, lub przynajmniej pewnej ich grupy, byłoby rzeczą nader ze względów ekonomicznych pożądaną, gdyby ich związek oparty został na solidarnej hypotetecznej odpowiedzialności, ze wzajemną gwarancyą wypłatności listów zastawnych; gdyby utworzono, w celu zmniejszenia kosztów administracyi, w pewnym jakimś środkowym punkcie zarząd centralny; gdyby wreszcie stowarzyszenie przyjęło nazwę ogólną „Towarzystwa Kredytowego miast prowincyonalnych." Pod tymi warunkami miasto Piotrków jak najchętniej będzie współdziałało i gotowe jest przyłączyć się do usiłowań Płocka.

Lublin. Kasa przemysłowców uorganizowała się. Prezesem wybrano p. E. Krausse, kasyerem p. K. Millera.

Iwangród. Most dla kolei na Wiśle ukończony. Z petersburga przybyła komisya dla zrewidowania roboty.

Mińsk gub. był polem walki wyzysku ze słusznością. Policya ze względu na ceny zboża obniżyła taksę pieczywa. Piekarze oparli się i policya ustąpiła.

— Z powodu wykrycia fałszowanych biletów, uwalniających od powinności wojskowej, aresztowano osób 130.

Ozorków. Pożar zniszczył przędzalnię Repkowicza, zatrudniającą 200 robotników.

Czihyryn. Niejaki Liniewicz poszukiwał przez całe życie ...skarbów. Na tę manię tracił cały majątek, rozkopując rozmaite kurhany i mogiły. Wreszcie znalazł jakieś naczynie z monetami, ale w chwili gdy je wyjmował z ziemi, padł pod ciosem z ręki towarzysza, którego sobie do tych poszukiwań przybrał. Oj te skarby!

Z Nowej Aleksandryi donoszą, że wycinanie lasów w okolicy, starannie je dotąd pielęgnującej, odbywa się z dziwnym pośpiechem. Padają dęby i sosny dla spekulantów niemieckich, jak pod kosą. No przynajmniej w tym kierunku nie będzie u nas nigdy zastoju i Ameryka nas nie wyprzedzi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 27 listopada.

Na odbywającej się w Berlinie konferencyi w sprawie Konga dość wyraźnie polityka niemiecka wystąpiła przeciw angielskiej, a za francuską. Ks. Bismark proponuje tak rozstrzygnąć tę sprawę. Każde państwo, posiadające w owych stronach prawa zwierzchnicze, otworzy wolny przystęp dla wszelkich flag; monopole i osobne umowy będą wykluczone. Również państwa interesowane będą usilnie starały się o wytępienie niewolnictwa, o zakładanie misyj i podnoszenie oświaty. Nowe zabory nie ulegną zaprzeczeniu, jeżeli państwo, które ich dokona, zaprowadzi w oznaczonym terminie pewne instytucye cywilizacyjne i utrwali rząd silny.

Przedstawiciel Anglii w zasadzie myśl tę poparł, ale co do Konga zauważył, że wolność żeglugi na tej rzece byłaby zwodniczą, gdyby współcześnie nie zostały otwarte inne drogi, wiodące w głąb Afryki. Natomiast co do Nigru, której porzecze oddawna przyjęło protektorat angielski, nie sądzi on, ażeby żegluga na tej drodze mogła podlegać kontroli europejskiej. Tu panuje samowładnie Anglia.

Tyle za pozwoleniem kanclerza zdradziła z obrad konferencyi *Köln. Ztng.*

Sejm niemiecki rozpoczął swoje posiedzenia. Nowy jego skład przedstawia się tak: konserwatystów 108, katolików 100, wolnomyślnych 63, narodowoliberalnych 47, socyalno demokratów 24, demokratów 7, welfów 8, polaków 16, alzatczyków 15, duńczyk 1, dzikich 2 — czyli ks. Bismark, rozporządzający samowładnie tylko konserwatystami i narodowo-liberalnymi, nie ma pożądanej większości.

Skutkiem zastoju przemysłowo-handlowego, który sparaliżował i Francyę, na ulicach Paryża rozegrał się znowu jeden z tych dramatów, w które doba nasza obfituje. Gdy Izba przeszła do porządku dziennego w sprawie braku zajęcia śród robotników, tłum ich wzburzył się i starł z policyą. Spokój przywrócono, ale biedy nie usunięto. Dla zapobieżenia konkurencyi amerykańskiej, która ją po części wywołuje, Francya zamierza podnieść cła na zboże sprowadzane. Myśl ta zyskuje popularność i w innych krajach tak, że Ameryka spotka na drodze swego handlu zbożowego mur, który jej wywóz do Europy nieco zatamuje.

Wyprawa w Chinach posuwa się ślimaczo — podobnie jak kampania egipska. Ale przynajmniej podobno Gordon — żyje!

Dla nas ważniejszą od tych robót jest polemika między urzędowym organem Watykanu a urzędowym organem rosyjskiego ministeryum spraw zagranicznych, prowadzona w kwestyi unickiej, o której wspomnieliśmy w numerze poprzednim. *Osservatore romano*, przyznając, że papież przyjmował deputacyę z Podlasia, usiłuje jej nadać charakter niewinny i dowieść, że proszący opierali się właśnie „na przyjaznych stosunkach Stolicy apostolskiej z Rosyą." *Journal de St. Petersbourg*, zadowolony z gotowości rozjaśnienia tej sprawy, zwraca wszakże uwagę, że „prasa katolicka właśnie po zjeździe skierniewickim rozpowszechniła z wielkim rozgłosem fakt, który obecnie dziennik papieski przedstawia jako nieszkodliwy i powszedni. Okoliczność ta, oraz towarzyszące jej złośliwe, drażniące komentarze świadczą dostatecznie o polskiem pochodzeniu intrygi, dążącej do zasiania niezgody wśród usiłowań trzech Monarchów, starających się o zaprowadzenie zgody i harmonii tam, gdzie polscy agitatorowie myślą o zaszczepieniu waśni, walki, wojny. Oto źródło wszelkiego złego. Nieraz już zaznaczano, że wszelkie nieporozumienia między dworem Cesarskim a Watykanem wynikają wyłącznie z chęci identyfikowania interesów katolickiego kościoła w Rosyi z interesami politycznymi polonizmu. Obecny wypadek świadczy o tem ponownie. Środki, na które skarżą się adwokaci unitów, były wywołane czysto politycznemi knowaniami, mającemi na celu polonizowanie ludności i zrobienie z niej wroga rządu. Jak tylko kuryarzymska zrozumie niebezpieczeństwo mieszania polityki z religią, wtedy żadne nieporozumienia nie naruszą pożądanych w Rosyi dobrych stosunków między kościołem katolikim i państwem." Tak mówi *Journal.*

W Petersburgu odbywa się narada wielkich kapitalistów europejskich. Nie ulega wątpliwości, że przedmiotem jej jest jakiś plan finansowy. Zanim on się publicznie odsłoni, zapisujemy tymczasem replikę ministerium skarbu na artykuł *Mosk. Wiedomosti.* Wyjaśnia ono, że nie czyniło żadnych operacyj dla sztucznego podniesienia kursu

rubla, owszem wstrzymywało się i wstrzymuje od sprzedaży złota zgromadzonego w Banku państwa właśnie dlatego, że wobec stagnacyi w handlu wywozowym sprzedaż złota mogłaby się tylko przyczynić do podniesienia kursów weksli i osłabienia wywozu a zwiększenia przywozu towarów z zagranicy. Co się tyczy wzrostu długu państwa, był on następstwem głównie wojny wschodniej i zbudowania sieci kolei żelaznych, które w ostatnich latach budowały się głównie kosztem skarbu. Jeżeli Stany Zjednoczone w ciągu lat 16-tu spłaciły 700 milionów długu, to nie należy przytem zapominać, że dzięki swojemu wyjątkowemu położeniu mogą one ograniczyć się na utrzymaniu 25-tysięcznej armii i nielicznej floty wojennej.

Berlin. Poseł Czarliński wystąpił ze znanym wnioskiem językowym.

Wiedeń. Przyjęcie przez papieża deputacyi unickiej i wysnuta stąd polemika dała powód do rozmaitych przypuszczeń co do odwołania lub nieodwołania p. Buteniewa z Rzymu. *Pol. Corr.*, zwykle dobrze poinformowana, twierdzi, że ambasador wróci na swe stanowisko, tylko się nieco spóźni, ażeby tym sposobem ujawnić niemiłe wrażenie, jakiego doznał rząd rosyjski po zachowaniu się Watykanu.

Wiedeń. Rozpoczął się proces przeciwko 20 anarchistom.

GŁOSY PISM.

Nowoje Wremia pisze:

„*Wileński wiestnik* podał niedawno ciekawe dane o liczebnym stosunku urzędników prawosławnych, katolików i żydów w guberniach: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej. Największa liczba katolików przypada w gub. kowieńskiej na policyę, instytucye włościańskie i Izbę skarbową, gdzie przewyższa ilość prawosławnych (125 katolików na 102 prawosławnych służy tam w policyi, 39 pierwszych na 27 drugich w kancelaryach włościańskich i 68 na 48 w kasach i Izbie skarbowej). Podobny, tylko większy stosunek wykazuje gubernia wileńska—w kancelaryi marszałka szlachty, w zebraniu deputackiem i w opiece (53 kat. na 26 prawosł. czyli przeszło dwa razy tyle). Ale mniejszość prawosławna okaże się jeszcze bardziej rażącą, jeżeli do cyfry katolików dołączymy żydów i inne wyznania. Pod innemi wyznaniami prawdopodobnie należy rozumieć po części ewangelików, dość zwykłych między polakami, a po części znowu spolaczonych lub zruszczonych mahometan, stanowiących niewielką wprawdzie, lecz pod względem religii wytrwałą cząstkę ludności kraju północno-zachodniego, pochodzącą niewątpliwie od tatarskich kolonistów, osiadłych tu jeszcze za polskich rządów. Żydzi zaczęli ostatnimi czasy licznie zajmować posady sekretarzów i pisarzów w zarządach policyjnych i innych zbliżonych do ludu instytucyach. Stopniowy przyrost katolików i największy ich procent daje się widzieć w powiatach, najbardziej oddalonych od ogniska zarządu kraju, i tylko bardzo powoli posuwają się oni ku niemu. Rzeczony dziennik w tym napływie osób wyznania katolickiego i żydowskiego na posady drugorzędnych urzędników i pisarzów upatruje godny uwagi znak czasu. Godząc się zupełnie na takie zapatrywanie, o ile ono dotyczy żydów, których rozumie się nie życzylibyśmy sobie dopuszczać na urzędy pisarzów i inne tego rodzaju zyskowne miejsca, należałoby wszelako, z innych względów, niebardzo polegać na samych oznakach wyznaniowych, omylnych wogóle w zachodnim kraju; niektórzy np. z mahometan polskich, jak słyszeliśmy, nie mają już w sobie nic tatarskiego prócz religii i nawet nie rozumieją języka, w jakim od czasu do czasu mułłowie odprawiają nabożeństwo. Nie można również identyfikować zawsze katolików z polakami, zwłaszcza w takim kraju, gdzie oddawna już jest mowa o wprowadzeniu rosyjskiego języka do dodatkowego katolickiego nabożeństwa i gdzie znajdują się duchowni katoliccy, równie przez polaków prześladowani. Nie mówimy już o przykładach odwrotnych, o byłych katolikach, którzy pozornie przyjęli prawosławie, obojętnych na wszystkie religie, ale pozostających w duszy zawziętymi wrogami wszystkiego, co rosyjskie. Przypomnimy nakoniec, że i luteranizm sam przez się niewiele znaczy. Ukrywają się pod nim nieraz neofici z żydów, zupełnie przejęci duchem polskim, jak tego dowiodło ostatnie polskie powstanie. Że osób czysto-polskiego pochodzenia, jakąkolwiekby religię wyznawali, nie byłoby dobrze dopuszczać w kraju zachodnim i na wyższe urzędy i na najniższe — to nie ulega wątpliwości i polityka hr. Murawiewa, który sprowadził tu urzędników rosyjskich, nie utraciła jeszcze i teraz swojego zasadniczego znaczenia. Ale błędem byłoby także stosować ją w całej rozciągłości, boć teraz nie stan wojenny i od czasu powstania minęło przeszło 20 lat. W niektórych, zwłaszcza wpływowych biurach — nie powinny i teraz być wcale osoby polskiego pochodzenia; w innych więcej specyalnych ograniczenie takie nie jest potrzebne. Nareszcie, czy nie należałoby, mianowicie w zachodnim kraju, w tych dykasteryach, w których polacy są dopuszczani do służby, ustanowić pewnego stosunkowego ich procentu względem rosyan tak, ażeby ta granica nigdy przekraczaną nie była. Należy powiedzieć i to jeszcze, że od czasów Murawiewa do naszej epoki przeszło całe pokolenie. On musiał *zapraszać* urzędników rosyjskich z wewnętrznych gubernij, ponieważ przedtem kraj był spolonizowany i z miejsca nie było kogo brać. Od naszych czasów możemy więcej wymagać. Przez dwudziestoletni okres musiały się pokazać miejscowe rodziny rosyjskie, mogli się też wyrobić miejscowi niespolonizowani urzędnicy rosyjskiego lub litewskiego pochodzenia, a to zależy od ogólnego kierunku wewnętrznej polityki w kraju, nie zawsze na nieszczęście konsekwentnej. Nie o to w gruncie rzeczy idzie, aby tylko usuwać od urzędowej działalności polski katolicki żywioł. Ograniczać go należy, ale bezwarunkowe usuwanie jest możliwem tylko w nadzwyczajnych razach, jak to było za Murawiewa. W tem leży *sztuka* administracyjna, aby umieć uczynić nieszkodliwemi podobne części ludności, korzystać z ich znajomości miejscowych warunków, ale trzymać w *bezwarunkowej* zależnoai od rosyjskiej władzy i zamieniać ich na wiernych obywateli, siłą własnego ich *interesu*. A główna rzecz nie poddawać się rutynie, nie patrzeć na nic przez szpary. Inaczej żaden system nie pomoże.“

Petersb. Wiedomosti, poruszając wydobytą w ostatnich czasach sprawę usunięcia żywiołu polskiego od dzierżawienia gruntów skarbowych w kraju północno-zachodnim, tak wyjaśniają krążące około niej pogłoski. Wypłynęły one z powodu czterech młynów rządowych we wsi Sewerynówce gub. podolskiej.

„Przy zatwierdzaniu warunków dzierżawnych rządzący senat zaopiniował, że Najwyższe rozkazy z dnia 14 sierpnia i 7 lisopada r. 1863, zawieszające czasowo wypuszczanie przez licytacyę folwarków skarbowych, wywołane okolicznościami, jakie zachodziły przed dwudziestu laty, nie dotyczą oddawania w dzierżawę oddzielnych skarbowych źródeł dochodowych (obrocznych statiej) i że dlatego odnośne rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych z r. 1864 powinno być uważane jako naruszające §§ 53, 72 i 74 zasadniczych praw państwowych. Słowem, zdaniem rządzącego senatu rzeczone rozporządzenie ministra nie ma prawnej podstawy i jako przynoszące widoczny uszczerbek dochodom skarbu, wskutek osłabienia współzawodnictwa na licytacyach, nie odpowiada obowiązkom, jakie § 16 ustawy o źródłach dochodowych wkłada na zarząd dóbr państwa. Wobec takiej opinii senatu minister dóbr państwa zmuszony był wyjednać Najwyższe zezwolenie na utrzymanie w swojej mocy wspomnionego rozporządzenia jednego ze swoich poprzedników, a jednocześnie sprawę samą zakomunikował do zaopiniowania ministrowi spraw wewnętrznych i generał-gubernatorom zachodnich gubernij. Wszyscy ci przedstawiciele wyższej władzy rządowej wyrazili silne przekonanie o konieczności niedopuszczania i na przyszłość w guberniach zachodnich osób polskiego pochodzenia do korzystania ze skarbowych folwarków i źródeł dochodowych w charakterze dzierżawców, lubo i tu nie obyło się bez pewnych „prądów,“ które odbiły się w doniesieniach osób podwładnych generał-gubernatorom. Tak np. jeden z administratorów orzekł, że warunki polityczne, które wywołały rozporządzenie z r. 1864, obecnie już nie istnieją i że przeto powyższe rozporządzenie okazuje się dziś nie na czasie i „widocznie“ pociąga straty dla skarbu. Ale wyższa administracya znalazła, że w danym razie możebna strata dla interesów skarbowych nie jest tak wielką, aby się nad nią warto zastanawiać, a tymczasem istniejące ograniczenia w dzierżawieniu skarbowych folwarków i źródeł dochodowych niewątpliwie są bardzo ważnym i skutecznym środkiem osłabienia żywiołu polskiego wpośród właścicieli ziemskich i uchylenia wpływu polskiego na masy ludności włościańskiej. Za możliwe uznano jedynie zrobienie wyjątku dla włościan katolików. Wyjątek ten okazuje się tem słuszniejszym, że na włościan nie rozciąga się Najwyższy rozkaz, wzbraniający osobom polskiego pochodzenia nabywania gruntów w zachodnich guberniach. O ile słyszeliśmy, minister dóbr państwa, mając na uwadze otrzymane raporta i uważając, że osłabienie konkurencyi na licytacyach nie grozi skarbowi stratami, ponieważ wszystkich źródeł dochodowych (obrocznych statiej) w dziewięciu zachodnich guberniach jest mało co więcej nad 2900, z dochodem rs. 233,000 i że dopuszczenie do licytacyi włościan katolików zupełnie zrównoważy nieobecność szlachty, a może nawet okaże się jeszcze korzystniejszem dla skarbu, wniósł, aby poruszoną kwestyę ostatecznie zadecydować w duchu zgodnym z opiniami min. spraw wewnętrznych i miejscowych gen.-gubernatorów. Życzenie rządu rosyjskiego silnego utrwalenia w zachodnich guberniach żywiołu rosyjskiego i niedopuszczania pod żadnym pozorem rozwijania się tam polskiego wpływu, nie może podlegać kwestyi.“

Rusk. Wiedomosti tak określają pewne „kierunki“ w prasie rosyjskiej, zwłaszcza w takich dziennikach, jak *N. Wremia* itp.:

„Mówić o „kierunkach“ tych dzienników i pismek byłoby rzeczą naprawdę nieprzyzwoitą; one mają właściwie jeden tylko kierunek, którego godłem: „żreć trzeba“ (żreć, to jest pożerać innych na to, aby samemu jeść najlepiej i najobficiej). Żreć potrzeba za jakąbądź cenę — oto ideał, godło; a oto maksyma życiowa, służąca do jego urzeczywistnienia; „wszystkie środki pomagające do zarcia są dobre.“ Że zaś w sferze upośledzonej publicystyki żadna genialna myśl, żaden choćby najwspanialszy artykuł nie jest w stanie dać tak świetnej dywidendy, jak skandal i szantaż, więc te dwa dobrze procentujące czynniki eksploatują się z jak największą gorliwością.

Skandal i szantaż, to rzec można główny balast, główny towar tego okrętu literackiego, którym kieruje efemeryczny kapitan-dziennikarz; sumiennie biorąc, jest to kontrabanda, której społeczeństwo może i nie zniosłoby twardego widoku; to też na głównym maszcie okrętu powiewa flaga narodowa, nosząca wypisane wielkiemi głoskami wyrazy: „patryotyzm,“ „konserwatyzm,“ lub coś podobnego i tym sposobem — *le pavillon couvre la marchandise.* Jednakże jak na każdym okręcie, tak i na tym nie flaga, ale towar jest wszystkiem i społeczeństwo o dobroć tego towaru przedewszystkiem dbać powinno. Co się tyczy flagi, jeszcze i o tem pamiętać należy, że ona jutro, pojutrze, w mgnieniu oka, każdej chwili gotowa przedzierzgnąć się w inną, jeżeli tylko ta inna będzie wygodniejsza i stanie się lepszą rękojmią, pozwalającą bez przeszkody przewieźć towar wstrętny dla sumienia narodowego. Jak dalece wszystko to oddziaływa na odbiorców, to jest na czytelników, nadewszystko mniej wykształconych, niechaj pomyśli nad tem każdy, kto pragnie dobra publicznego.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nowe rozporządzenie ministra oświaty, ogłoszone w dziennikach, orzeka, iż studentom uniwersytetu nie wolno przynosić do uniwersytetu książek i broszur, z których podług własnego uznania korzystają podczas studyów. Wolno tylko mieć przy sobie kursa i dzieła, zalecone przez profesorów.

Ważna decyzya. Bezimienne bilety, akcye i inne papiery wartościowe, nabyte w drodze legalnej, uznane przez sąd za skradzione pierwotnemu ich właścicielowi, a odebrane w czasie śledztwa sądowego od osób trzecich, winny być, wedle świeżo zapadłego postanowienia rządzącego senatu, zwracane tymże osobom na mocy orzeczenia sądu kryminalnego.

Nagrody w konkursie tegorocznym petersburskiej Akademii sztuk pięknych przypadły: wielki złoty medal Stanisł. Rostworowskiemu za obraz „Posłowie Jermaka przynoszą Iwanowi Groźnemu wiadomość o zawojowaniu Syberyi i składają mu dary; mały złoty medal Janowi Ciąglińskiemu za obraz „Bogacz i Łazarz;" Mikołajowi Samokiszowi za obraz „Atak artyleryi pod Mało-Jarosławcem." W dziale architektury: wielki złoty medal: Józef Dietrych za projekt klasztoru prawosławnego z cerkwią. Stopień architekta I klasy: Mikołaj Tołwiński. Mały złoty medal: Tomasz Bogdanowicz.

Studenci moskiewscy — jak donosi *Agencya półn.* — którzy uczestniczyli w zamieszkach (14 paźdz.) ukarani zostali: 17 wydaleniem, 53 aresztem.

Kara prasowa. Gazeta ormiańska na Kaukazie *Ardzahank* została zawieszona na 8 miesięcy.

Nowy cmentarz, który ma kiedyś zastąpić Powązki, otworzono w Brudnie.

Muzyka. Popisuje się w Warszawie Rossi, młody skrzypek.

Malarstwo. Munkacsy wystawił w Wiedniu swój obraz „Ukrzyżowanie Chrystusa."

Gazeta krakowska wycięła spory ustęp z ostatniego listu p. Karłowicza, udławiwszy się jednak *Prawdą*, cytuje „jedno z pism warszawskich..."

Osobliwszym zakładem naukowym jest wszechnica w Czerniowcach na Bukowinie, której wydział filozoficzny (filologia, historya, przyroda), kosztujący rocznie 90,000 złr., liczy w bieżącym półroczu 25 wykładających, a 20 słuchaczów, licząc w to i nadzwyczajnych. Austrya jednak zdecyduje się nierychło na zwinięcie tej pikiety germanizacyjnej.

Akademia krakowska. Na posiedzeniu pełnem z d. 15 z. m. wybrano na członków czynnych: prof. uniw. Maryana Sokołowskiego, prof. un. W. Zakrzewskiego, pr. un. St. Smolkę i na członka czynnego zagranicznego Marcelego Nenckiego, prof. chemii w uniw. w Bernie. Członkami korespondentami obrani: Ant. Kalina, docent slawistyki w uniw. lwowskim, ks. Stefan Pawlicki, pr. filozofii w uniw. krakowskim i Ludwik Kubala, prof. gimn. we Lwowie.

— Na temże posiedzeniu wybrano komitet, który prace komisyi ortograficznej rozpozna i zasady pisowni uchwali. W skład jego weszli: prezes Akademii Majer, Ant. Małecki, Luc. Malinowski, K. Estreicher, Wład. Wisłocki, Fr. Piekosiński, M. Dobrzyński, Fr. Karliński i St. Tarnowski.

Bank ruski we Lwowie, o którego zachwianiu donosił swego czasu nasz korespondent, otrzymał pomoc z Petersburga *vià* Berlin w ogólnej kwocie 600,000 marek. Pierwsza rata, wynosząca 50,000 m. już nadeszła do Lwowa.

Dla biednych. We Lwowie założono herbaciarnię, w której żony bankierów, inicyatorów zakładu, sprzedają za centa wielką szklankę herbaty, dobrze ocukrzonej. Spora bułka chleba kosztuje również centa. Dla młodzieży szkolnej jest osobny oddział. Założycielami są żydzi i żydówki. Hep, hep, *Rolo!..*

„Ananas," kalendarz humorystyczny, wydany przez K. Bartoszewicza w Krakowie, w ten sposób przedstawia stosunki galicyjskie:

„Żyd grywa rolę dziś ultramontana,
Chociaż nie zrywa z Kaźmierskim kahałem,
Kto jest lokajem u wielkiego pana,
Już jest stańczykiem i to sercem całem;
A nawet komu żonę zwodzi hrabia,
Ten na stańczyka zaraz się przerabia."

Wezuwiusz zaczął wyrzucać lawę. Otworzyły się dwa nowe kratery.

Zmarli. Baltazar Kalinowski, prawnik, profesor i pisarz. W uniwersytecie petersburskim wykładał statystykę.

Tylko wielkich ludzi świat z osobna liczy, innych gromadą waży. Ale on często nie wie, ile w tej ważonej przez niego masie znajduje się jednostek szlachetnych i rozumnych, które jaśnieją niewidzialne na nizinach życia, chociażby świecić mogły i na jego wierzchach. Taką wartościową jednostką, takim silnym umysłem, takim przejrzystym charakterem, był zmarły 22 b. m. w Warszawie a słusznie przez kilka pism uczczony *Wojciech Białosuknia*, właściciel dóbr Mała Wieś. Studya w uniwersytetach zagranicznych opatrzyły go dużym zasobem naukowym, życiowe zaś doświadczenia odlały mu serce z tak czystych uczuć, że ono we wszystkich swych uderzeniach wydawało szlachetne dźwięki. Zaledwie osiedlił się w nowej siedzibie, wyborem obywateli i włościan młody przybysz powołany został na urząd sędziego gminnego, na którym okazał swój rozum a nadewszystko niepokalany charakter. Jeżeli bogini sprawiedliwości rodzi dzieci, to tylko takich synów, a jeżeli społeczeństwo czuje w podstawach swych siłę, to tylko oparte na takich ludziach. Śmierć nieraz postępuje jak rabuś, który kradnie klejnoty, a zostawia rupiecie. Zaledwie 34 lat przeżył, zmarł człowiek, który był nietylko najzacniejszym synem, mężem i ojcem dla rodziny, ale światłym przewodnikiem dla okolicy. Dopiero gdy burza drzewo z ziemi wydrze, widzimy, jaki ono obszar zajęło swymi korzeniami; dopiero gdy śmierć człowieka powali, pozostałą po nim próżnią mierzymy jego wartość. Na grobie Białosukni szczery smutek wypłakał łez wiele. Spłynęły tam i moje, bo znowu w życiu zgasł mi jeden promień.

A. S.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. P. Z listu pańskiego nie wiemy dokładnie, o co chodzi. Skutkiem tego nie możemy zapytać adwokata, który jedynie w takich przedsięwzięciach może dać radę właściwą, ani przysłać broszury, nie znając jej treści i tytułu. W każdym razie całkiem prywatnie niepodobna. Rubel pozostaje do pańskiej dyspozycyi.

P. Edwardowi. To samo Mickiewicz przedtem lepiej opisał. W sonecie pańskim jest naprzód dużo nieścisłości (np. nieblosa grzmotem *zaszumiały*), powtórzeń (ošwiecają przyświecając, wzdęła się, wzdęte, nadęty, wzdęty), sprzeczności (krew *zastygła* w żyłach *nowem życiem* zagrała) itd. — a na 14 wierszy tych grzechów poetycznych za dużo.

P. Leonowi L. Przecież *Prawda* zamieściła streszczenie tej książki, po cóż więc jeszcze przekład jednego rozdziału.

P. W. B. w L. Niech Pan sprobuje szczęścia ze swoim bzdurnym figlem tam, gdzie na niego łowić można. My wiemy, że artykuł pański jest kawałkiem artykułu... Milla.

Sprostowanie. W numerze poprzednim *Prawdy* (*Przegląd słow.*) zamiast: *umiejetnost* winno być *umjetnost* (po chorwacku: sztuka).

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Ценсурою. Варшава, 16 Ноября 1884 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.